MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VI. Nr 12 WARSZAWA, 20 MARCA 1926 R. CENA NUMERU 80 gr.

OD REDAKCJI

NA ostatniej stronie zeszytu zamieszczamy wezwanie do składania przedpłaty na „Myśl Narodową" za kwartał drugi i następne. Zwracamy uwagę na ten termin i prosimy czytelników, aby akuratnem opłacaniem i rozpowszechnianiem pisma ułatwili nam pracę.

Zaledwie pół roku dobiega końca, odkąd rozpoczęliśmy skupiać koło siebie tych ludzi oświeconych, którzyby chcieli widzieć w Polsce panowanie narodowej myśli twórczej. Pracy naszej przyświecają ambitne plany, których nie trzeba lekceważyć w mniemaniu, że to tylko literatura. Myśl polska musi ogarnąć szerszy teren działania, niż sięga polityka. Od tego jaką treść i jaki styl nadamy cywilizacji polskiej, naszemu duchowemu polotowi, zależy rozmach naszej pracy politycznej, utrwalającej zdobytą w dziejach pozycję.

Nie możemy zdać się biernie na kierunek, jaki wypadnie z działania na nas obcych wpływów, narzucających na Polskę tak łatwo swoje sieci. Chcemy, uzyskawszy wolność polityczną, uczynić z niej trwały fundament życia Polski. Nic z tej wolności nie będziemy mieli, jeśli nie wcielimy jej w żywą, samodzielną, swoistą budowę narodową, w którejby duch polski znalazł dla siebie pełnią życia i mógł istotnie wykazać swoją dla świata wartość.

Myśl polska w niewoli ugorowała; stało się z nią to, co z zaniedbaną rolą, która się narzuca sama do parcelacji przymusowej. Trzeba ją uprawić, aby rodziła wszystko, co potrzebne gospodarstwu, które ma być samostarczalne.

To, co nazywamy genjuszem narodu, dobywa się w pracy od podstaw jakby w spółzawodnictwie sił przyrodzonych. Skupić się trzeba do tej pracy ludziom jednakich tradycyj narodowych, dla których najwyższą nagrodą życia jest współdziałać z sobą w tworzeniu narodowej cywilizacji. Złączyć tego typu ludzi w tej myśli — to zorganizować sferę oświeconą w społeczeństwie, to stworzyć klasę jego arystokracji.

To są nasze ambitne plany, bynajmniej nie osobiste, bo cóż z nich będzie, jeśli ogół ich nie wykona? Z drobnych początków poczynają się owoce przy współdziałaniu. To, że dotąd w ciągu niespełna pół roku skupiło się koło „Myśli Narodowej" około 80 pisarzy, daje nam otuchę, że praca się przyjęła i ma już swoją atmosferę. Prasa wszystkich odłamów narodowych wita nas przyjaźnie i do roboty zachęca. Spotkały pismo nasze oceny pełne uznania ze strony osób, którym ufamy. Między współpracownikami liczymy wielu przedstawicieli nauki i wielu obdarzonych talentem. Z zadowoleniem rozglądamy się w spisach odbiorców tygodnika, między którymi widać wybitnych przedstawicieli wszystkich odłamów politycznych. Nie brak więc zrozumienia, że istnieją poza polityką zagadnienia szersze — sprawy cywilizacji narodowej, która jest jedna dla wszystkich, jako wspólny dach, warsztat i duch — od pokoleń na pokolenia.

*
* *

W najbliższych zeszytach „Myśl Narodowa" zamieści szereg rozpraw i szkiców bardzo interesujących. Wymieniamy niektóre:

Romana Rybarskiego: Obecne przesilenie a literatura i sztuka.

Bolesława Gaweckiego: O potrzebie filozofji narodowej.

Wacława Sobieskiego: Skrzydła i pęta ducha polskiego.

Stanisława Kolbuszewskiego: U wrót „Wyzwolenia".

Antoniego Wysockiego: Ze wspomnień o Wyspiańskim.

I wiele innych.

JAKI POLSKA MA USTRÓJ?

W KRAJACH cywilizacji zachodniej walczą ze sobą dwa sprzeczne typy gospodarczo-ustrojowe: typ socjalistyczny oraz typ prywatnej inicjatywy i własności. Wiadomo również, że dwa są państwa na świecie, które najdokładniej ucieleśniają te dwie koncepcje: socjalistyczna Rosja i indywidualistyczne Stany Zjednoczone. To są dwa najdoskonalsze typy tych dwuch sprzecznych i niemożliwych do pogodzenia światopoglądów. Z owoców ich poznacie je. Stany Zjednoczone, które od 150 lat rozwijają i doskonalą swój system gospodarczy, są krajem, który najwyżej wydźwignął wytwórczość, wzbogacił i wzbogaca mieszkańców i państwo, zapewnił wszystkim obywatelom wolność, zadowolenie i radość życia, a przez to stał się ziemią obiecaną, do której wzdychają miljony biednych, cierpiących, wydziedziczonych, prześladowanych tak z Europy, jak z innych części świata: zapewniają obywatelom swym, chleb, wolność i godność ludzką. System ten zdał więc egzamin dojrzałości przez półtorawiekowy rozwój, który obecnie bynajmniej nie słabnie. Rosja od dziewięciu lat jest socjalistyczna. Wymordowała 3 miljony ludzi przez egzekucje, wygubiła około 10 miljonów przez głód, shisteryzowała wszystkich innych mieszkańców tak, że wszyscy dorośli do psychjatrycznego traktowania w zakładach dla umysłowo chorych, wprowadziła nędzę powszechną, brud, choroby zakaźne, masowe tępienie zdziczałych dzieci i zamieniła wszystkich w zgraję obłąkanych niewolników.

Samo to zestawienie wskazuje lepiej, niż długie broszury, po której stronie należy szukać szczęścia ludzkości. Po doświadczeniach krótkotrwałych na Węgrzech, w Bawarji i t. d., oraz po konsekwentnym eksperymencie w Rosji, tylko nieuleczalni sekciarze mogą jeszcze wierzyć w doktrynę socjalistyczną. Ludzie o zdrowych zmysłach powinni byli już dawno wyleczyć się z tych mrzonek.

Socjalizm wywodzi się z walki z kapitałem. I oto socjalistyczna Rosja, po zniszczeniu własnego kapitału, dochodzi do przekonania, że i wszechwładny socjalizm nie może obejść się bez kapitału — szuka więc tego kapitału zagranicą, aby bodaj własną suwerenność państwową sprzedać cudzoziemcom, mającym pieniądze. Większego uznania dla kapitalizmu, bardziej zawstydzającej kapitulacji, zaprzeczenia własnej racji bytu, nie można sobie wyobrazić.

Polska odrodzona przybrała charakter państwa socjalistycznego. Talmudystom i scholastykom zostawiam rozwikływanie sporów, jaka jest teoretyczna różnica doktryny między rosyjskimi bolszewikami, a polskimi mienszewikami czyli socjalistami; fakt zostaje faktem: Na czoło powstającej Polski wysunął się socjalista jako dyktator, powołał tylko socjalistów do rządu, a ci oddali administrację polityczną, szkolną, wojskową, w ręce członków lub sympatyków swej partji. Okazało się jednak, że Polska nie nadaje się do eksperymentów. Po kilku miesiącach wiwisekcji dyktator uczuł się odosobniony, a jego socjalistyczni ministrowie musieli podać się do dymisji.

I tu właśnie zaszła najtragiczniejsza pomyłka. Skoro system socjalistyczny zbankrutował, należało wprowadzić system odmienny, z temi tylko kompromisami, które nie podważają zwartości i sprawności państwa. Stało się inaczej. Narodowcy, ukołysani hasłem zgody i jedności, zgodzili się dla „świętej zgody“ na użyczenie swych imion i walorów za płaszczyk do osłonienia socjalizmu przed gniewem prostolinijnym mas. Dyktator został, jego ludzie zatrzymali kierownicze stanowiska: socjalizm rządzi dalej pod różnemi firmami.

Okazało się, że inteligencja polska ma mózgi już przysposobione na metodę socjalistyczną. Tem się tłumaczy, że socjaliści, stanowiący zaledwie dziesiątą część Sejmu, a może $1/_{50}$ społeczeństwa, potrafili przeprowadzić w swoim duchu ustawodawstwo: system podatkowy, system administracyjny, bo zawsze znajdowali poparcie u tych, którzy oficjalnie nie należą do ich obozu.

I mamy niedorzeczne widowisko: Polska jest państwem prawie socjalistycznem, z pozorami ustroju indywidualnej własności i inicjatywy. Jest to jakiś ustrój dwupłciowy. Na wzór socjalistycznej Rosji, pragniemy teraz ratować się cudzoziemskim kapitałem. Nie tędy droga ratunku. Jeżeli chcemy dostać lub mieć pieniądze, musimy zaprowadzić gospodarkę szanowania i ochraniania własności prywatnej i pieniądza, musimy zerwać z gospodarką socjalistyczną, a wrócić do indywidualistycznej.

Trzeba sobie powiedzieć, że ani do Rosji ani do Polski nie przyjdzie z zagranicy kapitał w wystarczającej wysokości. I wbrew temu, co mówią ustępujący przed socjalizmem nacjonaliści, śmiem zaryzykować twierdzenie, że dobrze jest, iż wystarczająca zagraniczna pożyczka nie dochodzi do skutku. Ta pożyczka dopomogłaby do dalszego zaropienia raka, który toczy nasz organizm państwowy, oddaliłaby o pewien czas jeszcze konieczność myślenia o ratowaniu się własneni silami i mogłaby doprowadzić do stanu, w którym albo ratunku niema, albo jest do osiągnięcia przez niezwykle bolesną operację.

Ażeby uzdrowić nasz ustrój, trzeba naprzód przeobrazić naszą socjalizującą umysłowość i wyleczyć się ze słabości kompromisu ze złem. Trzeba odważnie nazywać zło złem. Pierwszym stopniem, który do tego prowadzi, jest poznanie zła, przepojenie się przekonaniem, że to jest istotnie zło i przewartościowanie pojęć, nałogów, nawyczek i słabości do tego zła. Że zaś socjalizm jest złą nauką ekonomji, na to mamy dowody najlepsze na własnej skórze.

W sprawie gospodarczej socjaliści narzucili naszej umysłowości wrogie odnoszenie się do kapitału i do klas posiadających, a narzucili z taką mocą, że dziś trzeba wielkiej odwagi, aby się przeciwstawić tej powszechnej wierze i narazić się na zarzut, który w oczach dziewięciu dziesiątych niesocjalistycznego społeczeństwa dyskwalifikuje, zarzut obrońcy własności i klas posiadających. Tymczasem faktem jest, że nam potrzeba kapitału i że tego kapitału nie mamy. Fakt ten tak narzuca się wszystkim, że nie zaprzeczają go sami socjaliści, jak świadczą wynurzenia p. Moraczewskiego w grudniu 1925 r. A to już jest postęp. To mogłoby stać się punktem zwrotnym, gdyby ludzie umiejący myśleć zechcieli zajrzeć rzeczywistości w oczy i wyciągnąć z doświadczeń stosowną naukę.

Dlaczego niema w Polsce kapitału? Przedewszystkiem dlatego, żeśmy go wedle wskazań socjalistycznej nauki sami zniszczyli, a powtóre dlatego, że wprowadziliśmy ustawy i urządzenia, które nie dopuszczają do jego odbudowy. Największym niszczycielem kapitału była inflancja. Wskutek zawrotnego spadku marki polskiej stopniały i sczezły wszystkie oszczędności, umieszczone w bankach i na hypotekach, ulotniła się wszelka gotówka. Nazywają inflancję wynikiem wojny, a ona w istocie jest wynikiem ekonomji socjalistycznej. I przed wojną brak było w Polsce kapitału, ale to, co było, zostało niemal zupełnie zniszczone. Odbudować zniszczony kapitał można tylko przez pracę i oszczędność. Tymczasem dopóki kurs pieniądza nie zostanie ustalony, dopóty mówienie o oszczędności jest nierealnem rojeniem. Ponieważ do dnia dzisiejszego nie zdobyliśmy się na rzeczywiście zrównoważony budżet, brakuje nam pierwszej podstawy do trwałego stabilizowania pieniądza. A za tem idzie brak podstawy i zachęty do oszczędności.

Oszczędność jest owocem pracy. U nas praca została ograniczona i zohydzona. Wolność próżnowania jest największym dorobkiem polskiego socjalizmu. Nie zna jej niemiecka ani rosyjska praktyka, która wprowadziła 10 i 12 godzin pracy, a przez czrezwyczajkę zmusza do jej wydajności. Dopóki istnieć będzie nasze ustawodawstwo o pracy, dopóty niema mowy o pracy wydajnej i intratnej. A to ustawodawstwo nie zostało narzucone przez socjalistów, ale uchwalone także przez stronnictwa narodowe i włościańskie. Tu najlepiej widać owo zradykalizowanie mózgów nawet u tych ludzi, którzy się czują wrogami socjalizmu.

Wynikiem socjalizowania jest nasz system podatkowy, zmierzający nie tyle do zapełnienia kas, ile raczej do zniszczenia „klas posiadających". Widać to na podatkach bezpośrednich. Podatek gruntowy zaopatrzono najniedorzeczniej na świecie w progresję i degresję, jak gdyby ziemia nie była ziemią we wszystkich rękach. Zmniejszono w ten sposób nawet liczbę podatników z nienawiści do posiadaczy. Niedawno trzymorgowy chłop z Łodygowic w żywieckiem p. Michał Marek ogłosił w „Wieńcu-Pszczółce" odezwę do małorolnych, ażeby zażądali podwyższenia podatku gruntowego do wysokości normalnej, bo chcą być równymi obywatelami, a ponadto przy równomiernem obciążeniu bezpośredniem spodziewają się zmniejszenia opłat pośrednich czyli zniżki cen na konieczne artykuły. Nie wiem, czy głos ten dojdzie do uszu, zatkanych bawełną doktryny. Ale ten chłop małorolny okazał się lepszym ekonomistą, niż wielcy uczeni i ministrowie.

Podatek majątkowy ma dzisiaj za cel nie stabilizację waluty, lecz przyśpieszone zniszczenie własności rolnej. Wszyscy wiedzą, że jest nieściągalny w wysokości wymierzonej, ale socjaliści upierają się przy nim, jako przy środku zniszczenia obszarów dworskich i podtrzymania niepewności prawnej, niepewności posiadania i władania. A inni im pomagają.

Podatek dochodowy jest tak skonstruowany, że przy przekroczeniu pewnej wysokości dochodów podatnik zatrzyma w kieszeni mniej, niżby zatrzymał, gdyby tej wysokości nie osiągnął. Jest to więc kara na śmiałka za wzmaganie wytwórczości i powiększanie dochodów, czyli najskuteczniejsze niszczenie kapitału.

Socjalizm głosi wszechmoc państwa. Jego zasady nałożyły na państwo jednomyślnie uchwalony obowiązek odbudowania siedzib, zniszczonych przez wojnę, obowiązek przeprowadzenia parcelacji, obowiązek przymusowego ubezpieczania od ognia, choroby i t. d., obowiązek dostarczania mieszkań, pracy i zasiłków bezrobotnym. Ani państwo liberalne, ani konserwatywne nie zna tych obowiązków. Jest to koncepcja socjalistyczna. Wypływa stąd nadmiar urzędów i urzędników, biurokratyzm, sposobność do nadużyć, oszustw, przekupstw, łapownictwa.

W tych warunkach wytworzył się u nas osobny, niegodny ludzi dojrzałych i honorowych, stan umysłów. Skoro państwo jest wszechmocne, obywatel staje się niepełnoletnim, niedojrzałym, niewłasnowolnym, nieodpowiedzialnym pupilem, dzieckiem, Wymaga wszystkiego od państwa, albo od rządu, Sejmu, magistratu, od wszystkich, byle nie od siebie samego:

Powraca znowu ta pora obrzydła
Gdzie jedni są pasterze, drudzy nakształ bydła.

Dziś mieszkaniec Polski ma pretensję do władz, żeby mu dały posadę, mieszkanie, opał, światło, chleb, podarek na święta, w razie braku zajęcia pensję dla bezrobotnych. Stąd skłonność do życia na cudzy koszt. Urzędnicy państwa, magistratu, powiatu, kasy chorych, instytucyj społecznych żądają aut lub powozów na koszt swoich chlebodawców, spółdzielnie i związki, nawet magistraty ciągną ze skarbu państwa; agitatorzy żyją na koszt związków robotniczych lub kas chorych, posłowie osiągają godności na koszt pracy agitatorów — jedna szósta obywateli chce żyć z pracy pięciu szóstych. Pasorzytnictwo tak wybujało, że nasze przedsiębiorstwa tak państwowe jak prywatne są oblezione przez gromady suto płatnych dyrektorów, a ten stan pozwala wykazywać duże koszta administracyjne i małe, lub żadne dochody, co uwalnia od płacenia wygórowanych stawek podatku dochodowego i dywidendy. Lokatorzy posorzytują na właścicielach realności, fornale na ziemianach, służba na chlebodawcach, a ustawy strajkowe, umowy zbiorowe, ustawy ochronne oddają pasorzytnictwo pod opiekę prawa i władz.

Socjalizm jest najbardziej średniowiecznym, czasu wędrówek narodów i podboju przez najeźdźców sięgającym arystokratyzmem—z tą tylko zmianą, że germańscy najeźdźcy zdobywali swoje panowania siłą miecza, socjalistyczni agitatorzy siłą strajku. Jest arystokracją ze zmianą tylko rządzącego albo raczej pasorzytującego plemienia. I dowody na to mamy. Strajkujący robotnicy tramwajowi i instytucyj użyteczności publicznej pasorzytują na miljonowem mieście, maszyniści na kolejach i tyją. Arystokracja nowa już jest, podlejsza od Wizygotów i Franków w Galji czy Wandalów w Afryce.

Jesteśmy w istocie państwem socjalistycznem, ale obłudnem i niekonsekwentnem, bo utrzymaliśmy pozory ustroju kapitalistycznego.

JAN ZAMORSKI

O TRZECH POLSKICH „FAUSTACH"

I

Mówi się, że samochwalstwo śmierdzi. Zgoda. Jaki jednak ma zapach cudza i niesprawiedliwa nagana, na to publiczność nie ma nosa.
J. W. Goethe
„Sentencje w prozie".

POLEMIZUJĄC z Boy'em-Żeleńskim na łamach „Kurjera Warszawskiego" (Nr 56) i „Myśli Narodowej" (Nr 9), w krótkich wywodach usiłowałem oznaczyć różnice, jakie według mego zdania dzielą przekład literacki od przekładu poetyckiego. Stwierdziłem, że dzieła na miarę „Fausta", czyli dzieła, w którem ponad filozofją górować będą wieczyście walory poezji, że takiego dzieła imać się nie może literacka, ani tem mniej filologiczna metoda przekładowa.

Zagadnieniu temu, które zmierza do uświadomienia i ustalenia pewnych zasad i stylów sztuki tłumaczenia, warto poświęcić więcej uwagi. Schodząc z platformy polemicznej, należy z łąki aktualności nowych przekładów „Pierwszej Części Fausta" uszczknąć wiązankę wzorów, kontrastów i doświadczeń, by na ich zasadzie uzyskać ten i ów wniosek. Bez akcentów stronniczości, ale (zastrzec się wypada) z wysokiego punktu poezji Goethego.

Aby się w ramach niniejszej rozprawki nie rozpraszać zbytnio, pominiemy dawniejsze przekłady, a w roz-

biorze poetyckim skorzystamy z trzech najnowszych: profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego L. Wachholza*), Władysława Kościelskiego**), i Emila Zegadłowicza***), — porównując cytaty z oryginałem. W celu apriorycznego podkreślenia mojego poglądu na sprawę powtarzam, iż ponad dosłowność zewnętrzną (słowo w słowo), ponad ścisłość formalną i wierność filologiczną — stawiam wierność istotną (rzecz w rzecz), ścisłość pojęciową (myśl w myśl) i dosłowność napięcia inspiracyjnego (błysk w błysk), za warunek bezwzględny przyjmując u tłumacza bogactwo rzemiosła.

„Prolog w niebie“ zaczyna się słowami Rafała Archanioła:

Die Sonne tönt nach alter Weise
In Brudersphären Wettgesang,
Und ihre vorgeschriebne Reise
Vollendet sie mit Donnergang.
Ihr Anblick gibt den Engeln Stärke,
Wenn keiner sie ergründen mag;
Die unbegreiflich hohen Werke
Sind herrlich wie am ersten Tag.

(Wachholz, str. 11):
Już od wieków brzmi pieśń słońca
Które w bratniej sferze krąży,
I w przeznaczeń myśli dąży
Z grzmotem do swej drogi końca.
Pojąć słońca nikt nie może;
Moc aniołów płynie zeń;
Niepojęte dzieła boże
Wielkie są jak w pierwszy dzień.

(Kościelski, str. 17):
Znów słońce brzmi dawnemi ślady
Powrotnem pieniem bratnich stref,
A drodze tej przez nieb posady
Echem wtóruje gromu gniew.
Ta jasność moc w anioły tchnęła,
Gdy niezgłębiony tajni rdzeń;
I niepojęte, wzniosłe dzieła
Wspaniałe są, jak w pierwszy dzień.

(Zegadłowicz):
W melodji bratnich sfer wszechświata
gra słońce pieśń wieczyście młodą —
torem znaczonym w skrach wylata
i drży jak burza nad pogodą.
Cud niepojęty darzy mocą,
zachwyt z serc naszych wypromienia —
dzieła rąk bożych tak się złocą
dziś—jak za pierwszych dni stworzenia.

Wachholz używa wiersza 8-zgłoskowego, Zegadłowicz i Kościelski ściśle oddają miarę oryginału, przyczem Kościelski zachowuje stosunek rymów męskich i żeńskich. Rymy Wachholza są robione (zeń—dzień), rymy Kościelskiego poprawne, rymy Zegadłowicza płynne i naturalne.

Dosłowność absolutna naruszona jest wszędzie. Dosłownie mówi ośmiowiersz prologu (posługując się o ile możności wyrażeniami powyższych przekładów):

Słońce gra pieśń na dawną modłę
w zawodach pieśni bratnich sfer
a wyznaczoną podróż swoją
kończy krokiem gromu.
Jego (słońca) widok daje moc aniołom.
choć żaden nie chce go (słońca) zgłębiać;
a niepojęcie wzniosłe dzieła
wspaniałe są jak w pierwszy dzień.

Przekład prof. Wachholza zbanalizował rozmach wizyjny prostego i w oryginale tak jasnego ośmiowiersza [słońce „dąży z grzmotem do swej drogi końca“, „nikt nie może“ i t. d.]. „Brudersphären“ skurczyły się u Wachholza do jednej sfery. Tłumaczenie Kościelskiego zaciemniło przejrzystość i myśli i (poza ostatnim dwuwierszem) stworzyło zbiór niezrozumiałych określeń i metafor [„znów (?) słońce brzmi (?) dawnemi ślady (?)—przez nieb posady (?)—gromu gniew (?)—gdy (?!) niezgłębiony tajni rdzeń“]. Zegadłowicz uronił prostą moc 4-go wiersza, a „anioły“ na wzór Słowackiego przeniósł do „serc naszych“ — lecz wiersz jego jest lotny, czysty i posiada krew bujnych strof naszego romantyzmu, nie pacząc treści oryginału.

Zaznaczające się powyżej różnice przekładów dobitniej występują w dalszych słowach prologu, wypowiadanych przez usta Michała Archanioła, pełnych rozmachu elementarnego:

Und Stürme brausen um die Wette,
Vom Meer aufs Land, vom Land aufs Meer,
Und bilden wütend eine Kette
Der tiefsten Wirkung rings umher;
Da flammt ein blitzendes Verheeren
Dem Pfade vor des Donnerschlags:
Doch deine Boten, Herr, verehren
Das sanfte Wandeln deines Tags.

(Wachholz, str. 12):
Burze ryczą na przemiany,
Z morza na ląd, znów ku morzu,
Tworząc łańcuch nieprzerwany
Wielkiej zmiany w ziem przestworzu.
I niszczącej błyskawicy
Blask wyprzedza grzmot i cień;
Twoi Panie wysłannicy
Wielbią twój pogodny dzień.

(Kościelski, str. 17):
Za burzą wraz się burza zrywa
Z lądów na morza, z mórz na ląd,
I z złością w łańcuch gnie ogniwa
I w jeden działań zlewa prąd;
Tam się zniszczenia żagwie palą,
Gdy z grzmotem gromu błyszczy skra:
Lecz słudzy Twoi, Panie, chwalą
Ukojne drogi Twego dnia.

(Zegadłowicz):
Wichrzą się burze—naprzód—dalej
z morza na turnie — z turni w morza —
aż się wykuje z rąk kowali
łańcuch wiążący przestworza. — —
Żarzą się zgliszcza! — Z błyskawicy
wyrasta gromem ognia słup — ! —
lecz Twoi, Panie, posłannicy
czczą cichy przelot Twoich stóp.

Cóż jest istotną treścią tej strofy? Przeciwstawienie globowej potęgi rozpasania — cichej, ale bliższej Bogu potędze słodkich kroków dnia bożego. I czyż kontrast ów z całą siłą nie występuje najbardziej porywająco w przekładzie ostatnim?

O swobodzie przekładu mówi też koniec Prologu, ostatnie słowa Mefistofelesa:

Von Zeit zu Zeit seh ich den Alten gern,
Und hüte mich, mit ihm zu brechen.
Es ist gar hübsch von einen grossen Herrn,
So menschlich mit dem Teufel selbst zu sprechen.

Zegadłowicz, choć zatarł nieco subtelność 4-go wiersza, wpadł tu szczęśliwie w zwykłą polskość potocznego języka, stosując, jak i w licznych miejscach swego przekładu, nasz prosty, monumentalny, trzynastozgłoskowiec (z czego wynikło swobodne dodanie słów: „mój spryt go zabawia“):

Lubię staruszka czasem — i jestem ostrożny,
by go nie zrazić niczem—mój spryt go zabawia
— przecież to bardzo miło, gdy pan tak wielmożny
z chudopachołkiem za panbrat rozmawia.

*) Gebethner i Wolff. Warszawa 1923.
**) Bibljoteka Polska. Warszawa 1926.
***) Dotąd niewydany; wystawiony 27 stycznia 1926 r. w Teatrze Narodowym w Warszawie.

U Wachholza (str. 17) gładkość przekładu załamuje się w rażącem naciągnięciu wiersza drugiego:

Stary mi nieraz istną (!) radość sprawia
Z nimbym nie zerwał za skarb wszelki.
To pięknie, że Pan taki wielki
Tak ludzko z djabłem się zabawia.

Kościelski (str. 21) ów czterowiersz przekłada nie po polsku, drewniano, przyczem razi ucho nagromadzeniem brzydkich asonansów: „s“, „się“ i „toć“, „tak“:

Chętnie *się* czasem starego zobaczy.
Więc się zatargu wystrzegam statecznie.
Toć ładnie, że *tak* dostojny pan raczy,
I z samym djabłem rozmawiać *tak* grzecznie.

W różnolitem bogactwie form, jakiemi w „Fauście“ przemawia Goethe, można rozróżnić trzy zasadnicze rodzaje. Do pierwszego należeć będą rozdziały, przepojone brzemienną treścią myśli (monologi Fausta i przeważna część jego rozmów z Mefistem), nastroszone trudami dociekań metafizycznych i skalistością spekulacji, opromienione błyskami jasnowidzenia. Inna forma, to krystaliczny i żarliwy liryzm, przemawiający ustami Małgorzaty, duchów, nieraz i Fausta. Trzecia, to proza i pospolitość, trącąca raz grozą (sceny z wiedźmami), raz satyrą (tyrady Mefista), to znów zwykłą codziennością (rozmowa z pudlem). Formy te często zlewają się z sobą, ustępują jedna drugiej stopniowo lub raptownie, albo stwarzają tło jaskrawe lub zwiewne. Trudność przekładu polega w znacznym stopniu także na oddawaniu tych cudownie nieuchwytnych przejść, wahań, przelotów i nastrojów międzywierszowych. Są to pół-i ćwierć-cienie, wyczuwalne jeno dla ucha, serca, nerwów i pióra poety.

Pojdźmy tą drogą.

Porównajmy szereg wierszy z tych najgłębszych, najbardziej przysłowiowych strof „Fausta“.

Faust do Wagnera:

Die wenigen, die was davon erkannt,
Die töricht g'nug ihr volles Herz nicht wahrten,
Dem Pöbel ihr Gefühl, ihr Schauen offenbarten,
Hat man von je gekreuzigt und verbrannt.

(Wachholz, str. 29):
Nieliczni tylko tę prawdę zdobyli,
Lecz zamiast w sobie ukryć ją nieznaną,
To ją naiwnie tłumowi odkryli,
Za co palono ich i krzyżowano.

Wypełnienie rytmu w powyższy sposób, przy pomocy martwego kołka „to“—nie jest rzeczą dopuszczalną.

(Kościelski, str. 34):
Onych niewielu, którzy pojmowali
Nieco z prawd wiecznych, a którzy swe łono
Niebacznie tłumom odsłaniali,
Toć krzyżowano zwykle i palono.

Nieporadność wierszowania objawia się w niefortunnem, często u Kościelskiego wracajacem „toć“ (lub „wszak“) i w tem całą siłę powiedzenia nicującem słówku „zwykle“, podczas gdy Goethe mówi: „von je“—zawsze, od wieków. A „wyjawienie tłumom tego, co się czuje i co się widzi“ oddał tłomacz przez „niebaczne odsłanianie... łona“!

Zegadłowicz powyższą myśl oddaje swobodnie, trafnie i poetycznie:

Tych kilku, którzy prosto, szczerze
czucie i myśl umiłowaną
tłumowi dali w dobrej wierze,
spalono lub ukrzyżowano.

Ostatnie słowa Fausta w pierwszym obrazie: „Die Erde hat mich wieder“! tłumaczy Wachholz: „Ziemi jam zwrócony“, Kościelski: „Ziemi otom powrócony“, Zegadłowicz: „Powracam w krąg ziemi“!

W obrazie „Pod lipą“ romantyczne słowa Fausta brzmią w oryginale:

Ich säh im ewigen Abendstrahl
Die stille Welt zu meinen Füssen,
Entzündet alle Höhn, beruhigt jedes Tal,
Den Silberbach in goldne Ströme fliessen.
Nicht hemmte dann den göttergleichen Lauf
Der wilde Berg mit allen seinen Schluchten;
Schon tut das Meer sich mit erwärmten Buchten
Vor den erstaunten Augen auf.
Doch scheint die Göttin endlich wegzusinken;
Allein der neue Trieb erwacht,
Ich eile fort, ihr ew'ges Licht zu trinken,
Vor mir den Tag, und hinter mir die Nacht,
Der Himmel über mir und unter mir die Wellen.
Ein schöner Traum, indessen sie entweicht.
Ach! zu des Geistes Flügeln wird so leicht
Kein körperlicher Flügel sich gesellen.
Doch ist es jeden eingeboren,
Dass sein Gefühl hinauf und vorwärts dringt,
Wenn über uns, im blauen Raum verloren,
Ihr schmetternd Lied die Lerche singt;
Wenn über schroffen Fichtenhohen
Der Adler ausgebreitet schwebt,
Und über Flächen über Seen
Der Kranich nach der Heimat strebt.

Treścią tych wierszy, mówiąc w paru słowach, jest jakby „konradowska“ tęsknota, ból skrępowanych boskich wzlotów, wizja wyżyn ducha, zbratanie pokory ludzkiej z dumą anielską. W takich fragmentach ważniejszy niż gdziekolwiek jest polot przekładu, żywiołowość i natchnienie zjaw obrazowych, wierne odtworzenie wewnetrznej temperatury wiersza—nawet, gdy trzeba, z poświeceniem pewnych akcesorjów. W takich rozdziałach tłumaczący poeta ma święte prawo odczepić się od ścisłej dosłowności, zaniechać fotograficznego kopjowania każdej metafory, każdego obrazu i jego kolejności, boć przecie obrazy te nie są porządkowo naklejone na jakąś taśmę projekcyjną, lecz walą w burzy uczucia jeden przez drugi, są w wyższym porządku natchnienia jednoczesne, bezczasowe, ponadlogiczne, niekontrolowane.

Prof. Wachholz ustęp powyżej zacytowany przekłada ściśle, wiernie i dosłownie (str. 51):

Przedemną w wiecznym wieczora promieniu
Widziałbym, jak świat u stóp moich leży,
Góry spłonione, doliny w uśpieniu,
Jak srebrny strumyk w złotą rzekę bieży.
Mnieby nie wstrzymał w tej boskiej pogoni
Dzikich pasm górskich przepaścisty ścieg!
Zdumionym oczom mym morze się łoni
I jego wdzięczny malowniczy brzeg.
Już zda się znikną odblaski słoneczne,
Wtem nowy popęd budzą ich promienie,
I spieszę dalej pić światło odwieczne.
Przedemną dzień, a zamną nocy cienie,
Nademną niebo, podemną wód zwały.
Czarowny to sen, lecz pierzcha już niestały!
Ach! bo nie łatwo — rozpacz szarpie głucha! —
Z skrzydłem cielesnem sprzęgnąć skrzydło ducha.
Jednak *z nas w każdym* tkwi wrodzone prawo,
rwać się wciąż naprzód do wyższego bytu,
Gdy ponad nami w bezmiarach błękitu
Skowronek nuci swoją piosnkę łzawą,
Gdy nad szczyt świerków, co pod niebem ginie,
Majestatyczny orzeł zwolna płynie,
Lub gdy nad lasy i ponad wybrzeża
Samotny żóraw do ojczyzny zmierza.

Trzeba przyznać, że przekład jest bardzo precyzyjny i że oddaje każde niemal słowo. Ale trzeba zarazem przyznać, że czar poetycki, żar improwizacyjny i wielkość prostoty — że to wszystko rozwiało się prawie bez reszty. Zostały wiersze, napisane bardziej szczęśliwie (1, 3, 9, 11, 18, 19) i mniej szczęśliwie (2, 4, 7, 14, 17). Muzyczność wiersza jest daleka od doskonałości (oczom mym morze, z skrzydłem, nad szczyt świerków); rytm nie jest czysty (wiersz 2, 14); są odchylenia od koniecz-

nej tu prostoty, nieraz zamazujące jasność sensu („dzikich pasm górskich przepaścisty ścieg") lub nadmiarem przymiotników i t. p. rozwadniające zwartość myśli („wdzięczny, malowniczy" brzeg; nocy „cienie"; „rozpacz szarpie głucha"; piosnka „łzawa" (!); „majestatyczny" orzeł „zwolna" płynie). Rymy są poprawne, lecz matowe, przeważnie gramatyczne.

Te wszystkie niedostatki niby mnóstwem szmatek bandażują lawę, buchającą ze słów Fausta i wprawdzie ją podają „wiernie", sumiennie" i „ściśle", ale tak, jak się na półmisku bażanta podaje w całej krasie piór: wierny jest, ścisły, łudzący, jak żywy, ale brak mu tylko tej iskierki życia, tylko tej drobiny ciepła i tętna: jest właśnie przeto nieżywy. Bo dwie są wierności w przekładaniu, dwie sumienności i dwa ścisłości rodzaje. Powyżej cytowanemu fragmentowi brak wierności wyższego rzędu, brak ścisłości drugiej potęgi.

Kościelski tłomaczy w sposób następujący (str. 52):

Widziałbym w wiecznej zachodu godzinie
wiat cichy, do stóp usłany pokotem,
Płoniłyby się góry, spokój rósł w dolinie,
Potokby srebrny z rzek się łączył złotem.
Nie powstrzymałyby boskiego biegu
Góry z wąwozów przepaścistym mrokiem,
Bo tam się oto, wzdłuż jasnego brzegu,
Morze odsłania przed zdumionem okiem.
Teraz zapada już w oddale mgliste,
A przecie budzi nowych pragnień moc;
Spieszę, by światło jego pić wieczyste,
Dzień jest przede mną, a poza mną noc,
Niebo nade mną, a pode mną fale...
Sen to uroczy, lecz ono ucieka.
Z skrzydłami ducha, niestety, człowieka
Cielesne skrzydła nie popłyną w dale.
Ale każdemu jest ten pęd wrodzony,
Że go uczucie naprzód, wgórę wznosi,
Kiedy nad nami, w lazurze zgubiony,
Skowronek jasny śpiew swój głosi;
Gdy nad żywiczną gór wyżyną
Orzeł szerokim lotem krąży,
Gdy nad jeziorem i równiną
Żóraw do kraju swego dąży.

Rozmachu poetyckiego także tu niema, lecz jest ścisłość werbalna, niekiedy zmętniona. „Góry z wąwozów przepaścistym mrokiem" — to wymaga chwili namysłu, czy chodzi o góry, pochodzące z wąwozów, czy o góry z mrokiem wąwozów. „Z skrzydłami (!) ducha człowieka cielesne skrzydła" — do czego należy gramatycznie ów dla rymu wścibiony „człowiek", do ducha czy do skrzydeł? Słuchowo rażą spiętrzone na początku „by", tworząc już wyraźny zgrzyt fonetyczny w 5-ym wierszu: „Nie powstrzymałyby boskiego..." Dalej: „Spieszę, by (?) pić", „sen to uroczy, lecz ono (jakie ono?) ucieka." „Ale każdemu jest ten pęd wrodzony" — to nieco zanadto pachnie tonem nauczycielskim. I jeszcze jedno:

W poezji każde słowo znaczy i ma swój wewnętrzny ton. Waga jego zależy od tego tylko, gdzie i jak jest powiedziane, w jakiem natężeniu atmosfery (którą zresztą ono samo współtworzy), w jakiem skojarzeniu tonów i zbiegu świateł. Za jednem drgnieniem — z globowego słowa może stać się pusty frazes. A zarazem: jedno „lecz", „jest", jedno „aby" czy „i", może stać się niweczącą rysą w marmurze posągu. Sprobujmy pod tym kątem widzenia ocenić w powyższym przekładzie zwiewność takich wstawek, łatających rytm i rym: „skrzydła nie popłyną w dale" — „niestety" — „sen to uroczy." Rymy u Kościelskiego zbyt często pochodzą jeśli nie z samej Częstochowy, to z jej okolic; rzadko podchodzą do granic poezji.

Na tle poprzednich spostrzeżeń przczytajmy ten sam fragment w przekładzie Zegadłowicza:

Oto widzę w marzeniu — podniesiony lotem —
całą ziemię oblaną promieni tych złotem —
ogniem płonące turnie — ściszone doliny —
rzeki stopionem złotem płynące w krainy
dalekie!—Nic nie broni wysokiego biegu,
góry ani przepaście! — Aż morskiego brzegu
odsłonią się kontury, skąd wieczyste fale
zdają się wpływać światłem w gwiaździste oddale.
Przedemną dzień—a za mną noc—podemną morze —
a nademną na wieczność spłomienione zorze.
Piękny sen!—Dzień szarzeje, zaumiera, kona,
o, nie wytęsknią skrzydeł tęskniące ramiona!
Lecz któż zabroni sercom wieczne marzyć życie,
gdy w cichy dzień skowronek dzwoni na błękicie —
gdy orzeł z turni patrzy w stawów oczy pawie,
gdy z klangorem na wyraj wzlatują żórawie?

Prosta rachuba wykaże, iż Zegadłowicz z 24 wierszy Goethego zrobił 16 wierszy. Lecz zważywszy, że zamiast 9 i 11 zgłoskowego wiersza oryginału tłumacz zastosował tu znów 13 zgłoskowiec, przekonamy się, że na 236 zgłosek oryginału przypada 208 zgłosek przekładu, co znaczy, że formalna różnica wynosi prawie równo: 2 wiersze 13-zgłoskowe. A merytorycznie, pod kątem dosłowności? Nieoddany dosłownie jest przymiotnik „ewigen" (oddany w przenośni „podniesiony lotem"). Nieoddane dosłownie jest zestawienie „Silberbach in goldne Ströme" (zastąpione pięknem określeniem „rzeki stopionem złotem płynące"). Zegadłowicz, jak i dwaj inni tłumacze, pominął „erwärmte Buchten", lecz stworzył opisowy ekwiwalent w 8-m wierszu; pominął „erstaunte Augen" — a zamiast 9, 10 i 11 wiersza oryginału dał nieco niżej skrót: „Dzień szarzeje, zamiera, kona." Niema również ścisłego równoważnika dla wiersza: „Doch ist es jedem eingeboren", zaczajonego w określeniu: „Lecz któż zabroni sercom..."

Takie niedociągnięcia „ścisłościowe" odsłania skalpel ścisłej analizy, wskazujący, czego przekład nie dał. Ale co dał? Dał w sumie ciężaru i w pięknie znakomity obraz obrazu Goethego. Dał jakby piórem Mickiewicza sprowokowany wybuch namiętnej tęsknoty do Boga i bolesnego zadumania genjusza nad wieczystą nostalgję budzącem pięknem zjawisk przyrody. Skoro człowiek spada w przepaść, nie obchodzi mię scisłość kroju jego ubioru, ale rozpaczliwy napór przerażenia na jego ginące serce.

W tych kilkunastu wierszach: cóż za natłoczenie obrazów, co za rytm muzyczny, co za prostota — „przedemną dzień — a za mną noc" — jaka intuicja nieomylna w onem „wytęsknienie skrzydeł" — ile uczucia polskiego w czystej prostocie tego skowronka, w tym orle zapatrzonym „w stawów oczy pawie" i w tym jakże naszą tęsknotę rozdzierającym „klangorze żórawi"! A czy treść Goethego jest pogwałcona? Nie, postokroć nie. Tylko Zegadłowicz, jeden on wśród tłumaczy, ma wiarę i wiedzę, że inne są skrzydła w Polsce, inne orły i inne żórawie, niżeli w każdym kraju — i że oddając w polskiej mowie orła i skowronka, polskiego musi dać i orła i skowronka, bo inaczej dla polskiego czucia będzie to litera, papier i wypchany ptak.

A w wyniku, zestawiając ów fragment z niemczyzną, zdumieni będziemy, jak właśnie ściśle, właśnie wiernie i właśnie precezyjnie utrafił tłumacz w sedno tętna, waru i bezpośredniości tego hymnu.

Oto jedna z niezgłębionych tajemnic poezji, misterjum niezbadane, nic z kunsztem wspólnego nie mające. Ani go się nauczyć można, ani zdobyć rutyną, ani podpatrzyć i naśladować. Profesorowie, podręczniki, recepty i korepetycje w tej kapryśnej materji nie istnieją. Trzeba się z tem narodzić, musi to w poecie być, takie jak on sam, nierozłączone; inaczej nie byłby poetą.

WITOLD HULEWICZ

KOGUT ASKLEPIOSA

(Ciąg dalszy)

4

POSTULAT ubóstwa intelektualnego, jako zasługi, obu przeciwnikom dawał potężną broń do walki: poganinowi możność łatwego naigrawania się z ascety, ascecie zaś męczeńską słodycz przy odtrącaniu podsuwanych zagadnień. Cicha postawa księdza miała między innemi ten skutek, że Smochowski, w tonie niby poufnym, zwierzył się kiedyś, iż co jesień, od szeregu lat, urządza u siebie orgję djonizyjską z udziałem bachantek i kitarzystów. Katechecie na myśl nie przyszło, czy w powiatowem, dawniej gubernialnem mieście, można rzeczywiście wytrzasnąć tancerki greckie i kitarzystów, to też zwierzeń tych słuchając z uczuciem zgrozy, smucił się i wzdychał:

— Jak wam nie wstyd, panie Pawle, jak wam nie wstyd?

Tego wieczora, kładąc się spać, rozmyślał:

— Czy możliwe jest jeszcze zbawienie tak występnej duszy? Bądźmy bezstronni: żali oszczędzając takich, nie wyrządzałoby się krzywdy ludziom dobrej woli?

Dziwił się sobie, nie bez pewnej przyjemności, że osobiście zna takiego grzesznika. A zresztą... Taki straszny grzesznik może istnieć chyba tylko poto, żeby się w końcu nawrócić, a zasługa tego nawrócenia niechybnie przypadnie w udziale księdzu Rajcy.

Grzesznik tymczasem brnął coraz głębiej. Na jednej z zamiejskich przechadzek prowokująco zaczepił katechetę wystąpieniem:

— Politeizm ma tę przewagę nad koncepcją jedynobóstwa, że lepiej tłumaczy konstytucję bytu. Ten bałagan, jaki się dzieje na świecie, a pewnie i we wszechświecie, objaśnić można tylko rządami całej gromady skłóconych między sobą bóstw.

Przystanąwszy, ksiądz dał znak zgorszenia, przeżegnał się trzykrotnie i, dźgając lagą ugwieżdżone niebo, zawołał:

— Bójcie się Boga, gdzie wy macie ten bałagan? Człowieku, toż wszystko chodzi niczem w zegarku! Czyż nie wiecie, kiedy będzie wschód, a kiedy zachód słońca, kiedy wiosna, kiedy zaś zima? Czy nie dana wam możność odróżniania zła od dobra?

Szli, a młody śnieg sprężyście chrzęścił pod ich nogami. Gościńcem w obie strony sunęły dźwięczące janczarami sanki. Czuło się blizką obecność miasta, nad którem teraz w mroźnem powietrzu kopulasto zwisała łuna.

Ksiądz zadarł głowę, jak gdyby licząc gwiazdy.

— Patrzcie — rzekł, a grubym kijem rysował nad sobą szerokie łuki. — Spójrzcie no tylko!

W głosie jego brzmiał triumf.

— Cieszysz się ksiądz, jakby dzieło stworzenia i waszą też było zasługą — zgrzytnęła uwaga niewiarka.

Tamten zaś tupnął szeroką stopą, nabrał w płuca powietrza i, porwawszy pana Pawła w ramiona, wstrząsnął nim, aż chrupnęło w stawach.

— Oh, jak dobrze! — huknął rozradowany.

— Widzę, że ksiądz zadowolony jest z Pana Boga— stwierdził poganin.

A ksiądz trącił łokciem w bok nauczyciela, mrugnął i pokazał mu rozpiętą w górze wspaniale iluminowaną noc.

Smochowski rozejrzał się z miną znawcy, kiwając życzliwie głową.

— Owszem, niczego. Brawo autor! — rzekł z lekkim oklaskiem.

5

Kiedy w chorobie Smochowskiego nastąpiło niebezpieczne pogorszenie, ksiądz Rajca odprawił mszę świętą i na intencję powrotu do zdrowia kolegi przez trzy dni nie przyjmował pokarmów. Trwożyła go myśl, że blizki jego sercu grzesznik może zamrzeć, nie pojednawszy się z Panem, za co odpowiedzialność spadnie przedewszystkiem na nieudolnego kapłana i, mówcie co chcecie, przyjaciela.

Gdy po ukończeniu trzydniowego postu ksiądz Adam chciał się zobaczyć z chorym, aby skłonić go do przyjęcia wiary św. oraz do pokuty, lekarze stanowczo się wizycie sprzeciwili. Tyfus w ciężkiej formie wymagał zupełnego spokoju, a chory coraz częściej tracił przytomność.

Działo się to pod koniec zimy. Śniegi potajały, deszcz lał prawie bez przerwy i dęły wichry nieobliczalne, jak o wczesnem przedwiośniu.

Po niefortunnej próbie widzenia się ze Smochowskim, katecheta smutny i przygnębiony, wracał zabłoconemi ulicami do domu, czyniąc sobie wyrzuty za swą, jak się okazało, bezużyteczną dla chwały Pańskiej komitywę z poganinem.

Po północy zbudziła go Kolasińska: chory przysyła po księdza.

— Nawrócony!—szepnęła babina, ekstatycznie potrząsając wyliniałym czubem.

Ksiądz Rajca ubrał się, jak mógł najśpieszniej. Bez zastanowienia wdział komżę, na szyję zarzucił stułę, a w kieszenie okrycia wetknął modlitewnik, kropidełko i ampułkę ze święconą woda. Nie wiadomo przecież, kogo chory wzywa: przyjaciela, czy kapłana?

Owionął go na wstępie klimat ciężkiej choroby — zapach lekarstw i cieplarniany upał. Koło łóżka świeciła pod zieloną przyćmą lampa naftowa. Na poduszkach leżał nieruchomo ciemny zarys jakby nieżywej już głowy.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!—uroczyście zawołał kapłan, dając znak czuwającej u wezgłowia pielęgniarce, by się oddaliła.

Chory nie odpowiadał. Rozchyliły się tylko jego powieki i ku księdzu zwróciły się białe oczy. Od kilkunastu dni niegolona twarz porosła długą miedzianą szczeciną. Żółtawe ręce miętły na kołdrze jakiś urojony przedmiot.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — powtórzył ciszej kapłan, i, zdjąwszy futro, siadł przy łóżku.

Smochowski, zamiast odpowiedzieć po chrześcijańsku, rzekł nagle nie do wiary gromko i równo, tylko ochrypłym głosem:

— A czy wiesz ksiądz, jakie były ostatnie słowa Sokratesa, rzucone uczniom: „ofiarujcie tam Asklepiosowi koguta!“. Teraz powiedźcie, czyście znaleźli gdzie ślad, że ostatnia wola człowieka doskonałego została spełniona?

Ksiądz Rajca, nie spodziewając się takiego powitania, w obawie polemicznej zasadzki, bąknął zakłopotany:

— Wprawdzie swego czasu mówiono o moich niebylejakich zdolnościach, ale do historji pogańskiej nigdy nie miałem serca. Nie potoś mię, bracie zapewne wzywał. Chciałeś chyba do Boga myśl swą zwrócić?

Leżąca na poduszkach sczerniała głowa uczyniła ruch twierdzenia. Ksiądz Rajca, widząc to, aż przymknął oczy z rozkoszy. Zaiste: grzesznik ten poto żył, by się nawrócić i znak wiary przyjąć z rąk danego mu przez Opatrzność przyjaciela.

— Powtawrzaj więc za mną: Wierzę w Boga Ojca wszechmogącego...

Nagle znów zadudnił ochrypły, przykry głos. Padały słowa sypkie, nieakcentowane, jak gdyby z nieżywej dobywające się piersi.

— Może księdzu się zdaje, że to była brawura i gest pogardy dla doczesności, ów testament Sokratesa? Właśnie, że nie. To miał być dar dla, bądź co bądź, jednego z najsprytniejszych bogów. Co za potworność! Upłynęło już z górą dwa tysiące lat, a wola bohatera charakteru i rozumu po dziś dzień nie jest wykonana!

Zakłopotanie księdza wzrastało. Ręka chorego, dotąd wykonująca jakaś nierealną pracę, oderwała się od kołdry i sępio opadła na dłoń katechety.

— Tam w kącie pokoju stoi koszyk, w koszyku okrasa mego podwórza, Gallus Niger Severus, czarny mój kogut. Bierz zatem koszyk i koguta złóż Bogu, jako przez nieporozumienie spóźnioną ofiarę Sokratesa.

Ksiądz Rajca zerwał się z miejsca. W gniewie żywiołowym odtrącił rękę chorego i, nie panując już nad sobą, krzyknął:

— Zamiast bluźnić, bij się w piersi i błagaj Pana Jezusa o łaskę skruchy!

Smochowski znowu począł mówić rozbitym falsetem:

— Chrześcijaństwo wchłonęło wszystkie poprzednie bóstwa, wszystkie religje, jakie przed naszą erą istniały, przyznasz chyba, że z Bożego przyzwolenia. Starożytność w Asklepiosie czciła cząstkę Boga, jak współczesność zresztą w lekarzu czci pokazywacza cudów. Nie wzdrygaj się, nie wolno mi umrzeć, nie spełniwszy obowiązku wobec mędrca...

Ksiądz Rajca znów zatrząsł się z oburzenia.

— Bij się w piersi, grzeszniku, i błagaj miłosierdzia Bożego!

— Cicho księże — zaskrzypiał blaszany półgłos. — Cicho, ja jestem bardzo, zdaje się, nawet śmiertelnie chory. Jako kapłan, jesteś kapłanem Boga w całej Jego ciągłości historycznej, wszystkich jego przedchrześcijańskich faz i form. Czy znasz słowa Bhagavadgity: „Ci, którzy miłują innych bogów i wiarą natchnieni, składają im ofiary, ci składają ofiary mnie... Ja bowiem odbieram wszystkie ofiary i jestem ich panem“. Jeżeli spełnisz wolę Sokratesa, a obecnie, gdyś już świadom rzeczy, spełnić tę wolę musisz, to duszę swą oddam twemu kościołowi.

— Swoją bym wtedy zgubił — gorzko żalił się kapłan.—A ona przecież nie do mnie należy, frymarczyć mi nią nie wolno!

W wąsach chorego błysnął straszliwy przez swą bezduszność uśmiech i znów zadudniły słowa, treścią i charakterem uśmiechowi temu zupełnie obce.

— Tembardziej mojej duszy nie wolno ci wtrącać w ogień wieczny. Ratuj mię uczynkiem, który choć nieprzewidziany przez twoją regułę, w niczem jednak służbie bożej nie uchybi.

Ksiądz Adam milczał. Gniew ustąpił, a jego miejsce zajęło przygnębienie okropne i bezradność. Musiał to być zły dzień dobrodzieja. A pozatem możnaż było przekonywać ciężko chorego, który teraz, leżąc z zamkniętemi oczyma powtarzał uparcie:

— Kapłanie maluczkich, oto stoję wobec pustyni wieczności. Jeśliś jest dobry chrześcijanin, to duszę własną narazisz, by cudzą ratować. Pomyśl: czy dusza Sokratesa nie pokutuje dotychczas w najcięższych regjonach czyśćca przez to, że ofiary jego, może zbawczej, nie złożono dotąd cząstce Boga, w on czas zwanej Asklepiosem?

6

Na wieży zegar oznajmił czwartą. Ciemny wiatr, tłukąc się po mieście, rozwłóczył cieplejsze smugi, jako przywianą tu z burych pól zapowiedź wiosny. Rynny zawodziły nutą przejmującą. Gdzieś niedaleko szczekał znudzony nocą pies.

Zgrzytnęła furtka żelazna, wiodąca na asfaltem wylany cmentarzyk przed kościołem kapucynów. Pośrodku stał na białym cokóle Chrystus z błogosławiącą dłonią, a u stóp Jego chwiała się na pałąku kolorowa latarnia.

Zgrzytnęła furtka żelazna i ktoś wszedł. Kontur ciemny, wysoki. W ręku coś trzymał, coś jakby koszyk. Przystanął przed niedużą fasadą świątyni, dziwnie niezdecydowany. Koszyk postawił na boku, głowę obnażoną skłonił. Pewnie się modli. Modli się niewątpliwie. Nawet słychać szept — jakże jednak spłoszony!

— Żem się pilnie nie uczył mądrości ojców Kościoła, wina to moja, Stwórco, bom podobno zdolny był, tylko opętany przez lenistwo, Teraz nie wiem, czy gubię siebie, czy też ratuję aż dwie dusze: mego przyjaciela (czyżby oszalał?) i męża cnotliwego imieniem Sokrates, (żeby też z taką mądrością rodzić się przed Narodzeniem Pana, i tem tylko kłopotu ludziom później przysparzać!) Jeżeli źle czynię, a na litość nie zasługuję, potęp mię, Chryste. A jeśli łaskawie spoglądasz na serce moje gorejące, w Tobie tylko, o Panie, rozmiłowane, to Ty, któryś jest wiecznością, przyjmiesz tę ofiarę (tylko jak ją mam złożyć, sam nie wiem!)...

Na cmentarku, wśród wrzawy wiatru, rozległo się bojowe, przytomne i bardzo zadzierżyste pianie, pewnie odpowiedź na przedranne, skądciś zasłyszane sygnały kurów.

— Marjo, módl się za nami! — trwożnie zawołał duży cień.

Po chwili w koszyku, jušci że niedomkniętym, odskoczyło wyważone od wewnątrz wieko i wyfrunął stamtąd, łopocąc skrzydłami czarny potworek. Wielki nietoperz, czy też mały szatan?

Latające widmo jęło ciężko się wzbijać coraz wyżej i wyżej aż znikło po drugiej stronie murowanego ogrodzenia, gdzie się znajdował klasztorny dziedziniec. W chwili podniecenia wyobraźni możnaby ulec wrażeniu, iż czarny potworek uleciał do niebios lub rozpłynął się w gęstym mroku.

Spóźniony suplikant, padłszy na kolana, oczy zakrył dłońmi, niewiadomo czy w lęku mistycznym, czy w porywie dziękczynienia za jakiś może tu ziszczony cud?

(dok. nast.) WACŁAW FILOCHOWSKI

PRZEZNACZENIE

JEST ponademną ogromna powaga
Ojców, co każą mi wrócić do ziemi.
Zwisa nademną ich broni stal naga
I pakt zawarłem wiekuisty z niemi.
A bukiet tarczy i rdzawych oręży
Grzeje me serce, lecz na niem nie cięży.

W wyniku tego pokoleń przymierza
Przyjdą ich duchy do mnie, pól oracza,
By mnie pasować także na rycerza,
Któremu szczytną dolę Bóg przeznacza;
Zapewne będzie to w złoty poranek,
Gdy krwawych maków rozgorze kaganek.

Na dumne dworce cień Czasów się kładzie,
Maleją z dworzan wyrośli dziedzice,
Ale jest napis ze szczerb na mej szpadzie,
Co drogę wskaże mi, jak błyskawice:
Z wielkiego miasta chmurnego grobowca —
Do ziem, uśpionych wśród chwastów pokrowca.

MIŁOSZ GEMBARZEWSKI

LIBERUM VETO

Ośmieszona niespodzianka. — Rozrost monarchizmu. — Naturalny wytwór. — Co myśli lud i warstwy oświecone. — Tęsknota do praworządnej siły i stawka na króla. — Zagadka przyszłości. — Jeden protest przeciw oszczędnościom. — Nowy wiceminister. — Rozkaz czerwonego caratu.

GDY się narodził i przyszedł na świat pierwszy numer pisma monarchistycznego „Pro patria", powitano go chóralnym śmiechem. Nie dziw, zjawił się on bowiem w porze, w której zdawało się, że monarchizm nie ma żadnych warunków życia, nie odpowiada niczyjej potrzebie i niczyjemu oczekiwaniu, jest figurką z szopki, pomysłem kilku lunatyków, poruszających się we śnie, w którym nie widzą rzeczywistości. Wtedy, kiedy Polska sprawiła sobie konstytucję najradykalniejszą w Europie; kiedy jej rządy skręciły ster nawy państwowej na lewo i zbliżyły ją do bolszewizmu; kiedy sportowcy polityczni pobili najwyższe rekordy zachodnioeuropejskie w chodzeniu po stropie republiki głowami na dół—w takim czasie zalecać monarchję było taką propozycją, jak gdyby ktoś w starożytnym Egipcie czarnego wołu z białą gwiazdką, boskiego Apisa chciał przeprowadzić ze świątyni do obory. Była to nie równouprawniona z innemi religja polityczna, ale zuchwałe, karygodne bluźnierstwo. Jeżeli czytelnicy przypominają sobie, nie należałem ani do zdumionych, ani do oburzonych, ani do gwiżdżących. Nie dlatego, ażeby jakakolwiek królewska mość była przedmiotem mojej czci i tęsknoty, ale dlatego, że ona całkiem naturalnie wyłaniała się z naszego położenia. Dziś drobna sekta rozrosła się już w obszerny kult, mała kapliczka w duży kościół, do którego się schodzą coraz liczniejsi wyznawcy. Monarchiści odprawiają wiece, dwa ich obozy połączyły się w jeden, ich czasopisma się mnożą, świeżo przyłączyło się do nich jedno ze stronnictw politycznych, a co ważniejsze, zewsząd słychać, że chłopi domagają się króla. Czego to wszystko nas uczy? Czy rzeczywiście rozżarzyły się w duszach polskich przyprószone a teraz rozdmuchane iskry monarchizmu? Sprawa nie przedstawia się tak prosto. Że lud nasz na obecnym stopniu swego rozwoju pojmuje i chce widzieć najwyższą władzę w ukoronowanym pomazańcu, zwłaszcza że od tronu spłynęły na niego najważniejsze dobrodziejstwa, że trudno mu zrozumieć, ażeby tego nadpana mógł zastąpić jakiś pan, chociażby wybrany pięcioprzymiotnikowem głosowaniem—to jest fakt naturalny i niewątpliwy. Ale ten lud z istoty swojej łagodny, uległy, nieposiadający żadnych przekonań politycznych i łatwo godzący się z każdym rządem, który mu „nie doskwiera" i go nie niszczy, oswoiłby się wkrótce z ustrojem republikańskim. Jakie są upodobania polityczne warstw oświeconych, wyjąwszy arystokrację, trudno orzec, ale to pewne, że one czułyby się dobrze w rzeczypospolitej, gdyby... W tem „gdyby" tkwi klucz zagadki. Człowiek długo cierpiący dokuczliwe bóle, jeśli nie może wyzdrowieć, pragnie wkońcu już zmiany choroby na inną. Gdybyśmy dziś zapytali niejednego zwolennika monarchji, czy ją uważa za lepszy ustrój państwowy, odpowiedziałby: niech będzie inne zło, aby tylko ustąpiło to, które nas teraz nęka i które tak nam obmierzło, że każde inne wydaje się lepszem. Nie wiadomo, ilu jest w naszem społeczeństwie szczerych monarchistów, ale to pewna, że jest ich nieskończenie mniej, niż gotowych do przyjęcia monarchy. Ci stanowią masę, złożoną przeważnie ze strapieńców, którzy nie widząc żadnej innej drogi ratunku dla siebie i ogółu, stawiają w hazardowej grze na króla. Właściwie im nie chodzi o przemianę organizacji państwa, o postawienie tronu i osadzenie na nim panującego „z bożej łaski i woli narodu", ozdobionego koroną i berłem, stojącego ponad prawem, otoczonego blaskiem majestatu, lecz o symbol, o postać władzy mocnej, od żadnego stronnictwa niezależnej, ponad wszystkie wzniesionej, o żywą księgę prawa, która utrzymuje ład, nie pozwala nikogo krzywdzić, zasłużonych nagradza a winnych karze. Ludzie zmordowani zamętem, bezprawiem i bezkarnością tęsknią nie do wielkiej lalki w płaszczu gronostajowym, ale do urzeczywistnionej idei, pojęcia, zasady siły praworządnej. Czy ta siła wcieli się w króla, cesarza, dyktatora, wodza, ministra z rodzaju Richelieugo, Bismarka, Mussoliniego — to obojętne, aby tylko się zjawiła, zniosła chaos, wprowadziła trwały porządek w ustroju i działalności organów państwa. Oto jest szeroka podstawa, na której opierają się plany i dążności naszego monarchizmu. Zerwał się w całym narodzie potężny wicher niezadowolenia, pod jego prąd monarchiści nastawili śmigi swego wiatraka, które obracają się bardzo szybko i mielą mąkę królewską. Czy jej namielą tyle, ażeby starczyło na obdzielenie zwycięskich w walce żywiołów społecznych i czy je pobudzą do przełomowego czynu — przyszłość powinnaby wkrótce odpowiedzieć. Ale również jest możliwe, że nie odpowie, że będziemy długo znosić cierpliwie chorobę, będziemy w niej marnieć, wyniszczać się i poprzestawać na radach oszukańczych znachorów i jękach—bo to już nieraz zdarzało się w naszej historji.

Na dokonywaną ostrożnie i lękliwie redukcję osób i płac nastąpiła już prawie powszechna zgoda, opiera się jej bowiem tylko jedna grupa ludzi a może nawet tylko jeden człowiek, który mówi: „Przyznaję, że taka podwójna redukcja jest konieczna i celowa, ale nie powinna ona dotykać nas, albo—ściśle mówiąc—mnie. Ja nie jestem zbyteczny i pobieram tak małą pensję, że ona nie pokrywa moich potrzeb. Co do innych, to i owszem, można ich wyrzucić lub obciąć im dochody, bo państwo rzeczywiście musi zmniejszyć swoje wydatki". Jest to typowe rozumowanie wszystkich protestów wiecowych, odezw i artykułów w prasie. W tym wielojęzycznym krzyku na okrucieństwo redukcji nie odezwał się dotąd ani jeden głos pojedyńczy lub zbiorowy, któryby oświadczył: „Biedna Polska rzeczywiście nie może hojnie a nawet dostatecznie opatrzyć swoich pracowników, więc ja i my powinniśmy umiarkować nasze wymagania". Taka ofiara przechodzi siły patrjotyzmu naszych obywateli, którzy strasznie kochają ojczyznę i gotowi są poświęcić dla niej wszystko, co tylko leży poza ich kieszenią.

Ponieważ uznano powszechnie, że państwo musi zmiejszyć swoje wydatki na administrację i udowodniono, że w niej niepotrzebne jest ministerjum robót publicznych, więc dodano mu... nowego wiceministra. Jest to jeden z typowych wniosków naszej logiki oszczędnościowej. Króla, króla, coprędzej! — wołają monarchiści, przekonani, że gdy powróci do swego domu Ulisses, wymorduje zalotników Polski — Penelopy, którzy rżną i zjadają najtłustsze sztuki z jego wołów i baranów.

Przypuszczają oni również, że wtedy skończy się tyranja „czerwonego caratu". W Zagłębiu Dąbrowskiem powstał niezależny od niego związek górników pod nazwą „Praca Polska", który zawarł umowę z przemysłowcami o dwugodzinne przedłużenie robót w sobotę za odpowiednim wynagrodzeniem. Ponieważ w żadnej religji świata nie ma dogmatu bardziej nietykalnego, niż w katechizmie socjalistycznym dzień ośmiogodzinny, skracany w sobotę, ponieważ według tego naświętszego przykazania nawet majtkowie tonącego okrętu nie powinni go ratować o 5 minut dłużej i obowiązani są raczej wraz z nim pójść na dno, niż przekroczyć granicę nakazanego czasu,

przeto inspektor pracy nie zatwierdził tej umowy. Innemi słowy: opiekun robotników zabronił im gwałcić socjalistyczny szabas, pracować o dwie godziny dłużej i dodatkowym zarobkiem dobrowolnym powiększyć swoje dochody, które nie wystarczają na utrzymanie życia. Tak wygląda dyktatura proletarjatu, a raczej bezmyślna tyranja jego dyktatorów. O Bolszewjo, czego jeszcze możesz żądać od nas więcej?

Sprostowanie. P. Zamorski, którego zarzuty, dotyczące naszej mennicy, przytoczyłem w jednym z poprzednich fejletonów, wyjaśnia w „Gazecie Warszawskiej", że po zbadaniu sprawy w komisji sejmowej wiadomość o korzystaniu z materjałów Urzędu probierczego przez spółkę dentystyczną, okazała się nieprawdziwą. Cieszmy się, że w naszem bagnie urzędniczem jest o jedną garść błota mniej.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

JAK SIĘ OŚWIECA „RADYKAŁÓW" POLSKICH W IMIĘ WIĘZI RASOWEJ...

Od 8 mniej więcej miesięcy jest już w obiegu księgarskim książka Rudolfa Korsch'a p. t. „Żydowskie Ugrupowania Wywrotowe". Praca ta, jak wiadomo, znalazła niezwykle przychylną ocenę na łamach prasy narodowej, natomiast obóz „radykalizmu polskiego" zastosował wobec niej zwykłą taktykę... przemilczania. Rewelacyjna treść nie podobała się widocznie żydostwu. Nareszcie po 8 miesiącach zaczęto mówić...

P. Bełcikowska, z domu p. Lebensbaum, zabiera się do oceny powyższej pracy (p. „Głos Prawdy" Nr. 9) „w imię uczciwości i prawdy politycznej", gdyż jest ona tendencyjna, zawiera szereg nieścisłości, a nawet „fałszów" (dosł.) „a więc nie mogą się nią posługiwać ani urzędy, ani osoby prywatne".

Przedewszystkiem nie podoba się p. B., że w przyjętym przez autora podziale ugrupowań żydowskich w obozie wywrotowym znalazły się wszystkie, z wyjątkiem trzech, to jest syjonistów, ortodoksów i folkistów. Tak właściwie nie jest, gdyż autorka zapomniała sama o istnieniu jeszcze mizrachistów i „asymilatorów". Ugrupowania, które opierają swój program społeczny na walce klas i dążą do zmiany obecnego ustroju społecznego przy pomocy rewolucji socjalnej — według autora są wywrotowe. Prawda, że obranie tego punktu obserwacji daje możność dostrzeżenia takich celów i interesów w posunięciach żydowskich, które z innego punktu obserwacyjnego byłyby zatuszowane, niedostrzegalne... Ale mniej dogodny punkt obserwacji nie leży w interesie społeczeństwa polskiego, a właśnie praca R. Korsch'a dla społeczeństwa polskiego jest pisana.

Autor, pisze p. B., przytacza rezolucję II-go Zjazdu Bundu, który uznał III (moskiewską) międzynarodówkę, a przemilcza uchwały III-go zjazdu i w ten sposób ma możność twierdzenia, że III-ci Zjazd Bundu, odbyty konspiracyjnie, żadnych zmian nie przyniósł. W tem ostatniem zdaniu, według autorki, mają się zawierać dwa fałsze...

Co do przemilczenia. Autor nie przemilcza uchwał III-go Zjazdu. Przeciwnie, rozbiera je szczegółowo, poświęcając stosunkowi Bundu do międzynarodówek całych 11 stronnic (str. 157—169). Co do fałszów. Trzeba stwierdzić, że III Zjazd odbył się konspiracyjnie. Umieszczenie sprawozdania, przytem nie wiadomo, czy pełnego, w piśmie żargonowem, nie dowodzi faktu legalności. Czy autorka ma informacje z właściwego urzędu, przytem z jakiej miejscowości, że o zezwolenie organizatorzy zwracali się, i że takie pozwolenie otrzymali?

Autor książki mówi, że III-ci Zjazd nie wniósł zasadniczych zmian w stosunku do uchwał II-go Zjazdu, wyjaśnia to ściśle i rzeczowo w całym rozdziale (str. 58—64). P. Bełcikowska natomiast—jako jedyny dowód—z „Walki" (a więc organu służącego dla inspirowania Aryjczyków, nie orjentujących się w zagadnieniach żydowskich) przytacza zdanie „...szczególnie zwalczanie szkodliwych tendencyj kominternu, stojących na przeszkodzie skonsolidowaniu rewolucyjnych sił międzynarodowego proletarjatu..." Czyż zdanie to nie potwierdza jedynie myśli autora, zawartej w przytoczonym wyżej rozdziale? Toć uchwala III-go Zjazdu wyraźnie zapowiada współpracę Bundu z K. P. R. P. — (Komunistyczna Partja Rewolucyjna Polski), a więc składową częścią kominternu—„w razie gdyby ogólne interesy proletarjatu wymagały wystąpienia całego proletarjatu w kraju" (p. str. 61 i przytoczone tam źródło).

Autorce nie podoba się, że autor książki rozpatruje „Kombund" i „Ferajnigte," z których pierwszy „od 3 lat nie istnieje, gdyż złączył się z K. P. R. P." a F-te „jesienią 1922 r. weszła *in corpore* w skład ówczesnej partji N. S....". Autor książki wyraźnie mówi o „Kombundzie", jako składowej części K. P. R. P. (na str. 170 i nast.), a drugiego faktu nie tylko nie neguje (str. 71), lecz na str. 177—179 przytacza dosłowną treść umowy, zawartej między temi ugrupowaniami. Rozpatrzenie tych dwóch organizacyj rzeczywiście nie idzie po myśli interesów polityki żydowskiej, daje bowiem społeczeństwu polskiemu możność zorjentowania się, co to jest K. P. R. P., co to są Niezależni Socjaliści i dlaczego te połączenia nastąpiły. Autor wyraźnie o tem mówi, w odniesieniu do Ferajnigte na str. 71, 81 i nast.

Jeżeli autorkę oburza „samowolne" użycie nazwy niezależna partja socjalistyczna (w każdym razie nie w cudzysłowie) poza nazwą niezależni socjaliści (a nie jak twierdzi p. B. „niez. soc. partja pracy"), to w równej mierze należałoby wystąpić przeciwko użyciu np. nazwy, Bund, boć i to nie jest nazwa ścisła, a tylko częstokroć przez wielu używana...

Zresztą w stosunku do grupki p. dr. Drobnera ten zarzut będzie mógł być stale stawiany, gdyż tendencja do zmiany firm na inne jest charakterystyczna wogóle dla przedsiębiorstw żydowskich, zwłaszcza, gdy idą źle...

„Niez. Socj. partja pracy" nie jest stronnictwem żydowskiem, twierdzi p. B. Ma to dotyczyć dawnych Niezależnych Socjalistów. Czy i w tej części, która się składa z „Ferajnigte" *in corpore*"? A przecież organizacja oparta jest na zasadzie sekcyj narodowościowych... Maskarada firmowa jest, jak wiadomo, dogodna dla polityki żydowskiej... Boć przecież wówczas można śmielej dążyć do „dyktatury proletarjatu", w tym wypadku już... „polskiego".

Autor nie neguje udziału Niemców, przeciwnie wyjaśnia ciekawie przyczyny współpracy niemiecko - żydowskiej (str. 91 i nast.).

„Niezależni Socjaliści nie są stronnictwem wywrotowem... Sąd warszawski uwolnił dr. Drobnera..." wytacza nowy argument p. Bełcikowska. To przecie nie dowód. Prokurator wówczas mógł np. czerpać swoją wiedzę o ugrupowaniach żydowskich z „obszernej pracy" p. Bełcikowskiej, z domu p. Lebensbaum. Niezadowolona jest też p. B., że Poale-Syjon i Cejre-Syjon są zaliczone do wywrotowych, gdyż... dążą „do realizacji państwa żydowskiego w Palestynie...", a tylko lewica Poale-Syjon „sympatyzuje podobno z kominternem..." Nie wypada „autorce obszernej na ten temat pracy" używać takich wyrażeń, jak „podobno", bo to nie tylko dyskwalifikuje znajomość sprawy przez autorkę, lecz ponadto

w niewyraźnem świetle przedstawia czytelnikowi organ „radykalizmu", i to jeszcze o barwie ponsowej tytułu...

Dążenie do państwa żydowskiego nie wyklucza działalności rewolucyjnej w diasporze: żydowskie ugrupowania o kierunku syjonistycznym mają dwa programy, z których jeden w odniesieniu do diaspory... I tu Żydzi są bardzo hojni... Inż. Rutenberg na terenie Palestyny bierze obecnie najżywszy udział w realizacji Państwa w rodzinnym kraju i to przy poparciu światowej organizacji syjonistycznej... chyba jest syjonistą? A w Rosji kim był? „Rewolucjonistą", który między innymi zamordował własnoręcznie znanego popa Hapona... „Hitachduth" również zdaniem p. B. nie powinna się była znaleźć w dziale ugrupowań wywrotowych, gdyż celem jej... „krzewienie syjonizmu". Autor książki wyraźnie zaznacza, że nie zalicza jej do obozu wywrotowego (str. 1) i umieszcza ją w swej książce, ze względu na współpracę jej z obozem wywrotowym (str. 142).

Że autor poza powyższym względem miał słuszność, umieszczając ją w swojej pracy, może służyć za dowód uchwała IV światowej konferencji tej organizacji w Wiedniu (sierpień — wrzesień 1925 r.), którą to uchwałą wyrażono zasadniczą zgodę na przystąpienie jej do londyńskiej międzynarodówki, ze względu na wpływy proletarjatu...

Co do cytat... Zanim autorka nie zdołała stwierdzić sfałszowania cytaty, nie wypada tego insynuować, nawet w imię tej żydowskiej solidarności i więzi rasowej, które podyktowały p. B. z domu p. Lebensbaum napisanie recenzji, a która to więź właśnie pozbawia osoby pochodzenia żydowskiego możności należytego objektywizmu przy rozpatrywaniu jakiejkolwiek sprawy żydowskiej...

J. P.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Nadzwyczajne zgromadzenie Ligi Narodów — „Duch" porozumienia i ustępstw — *Veto* Brazylji — Odłożenie przyjęcia do sesji wrześniowej.

RZADKO zdarza się widowisko równie pouczające, jak perypetje przystępowania Niemiec do Ligi Narodów. Rozpoczęło się to w nastroju odświętnym, uroczystym, górnym. Mowy mężów stanu nacechowane były dziwnem uduchowieniem („duch" Locarno, „duch" zgody i jedności, „duch" wzajemnego zrozumienia) stowarzyszenia pacyfistyczne przygotowywały wspaniałe obchody na zbliżający się dzień pogodzenia wrogich sobie do niedawna państw i ludów. Przedwojenna idea oparcia pokoju na zasadzie równowagi sił powszechnie była potępiana. Ci, co popierali żądania Polski, Hiszpanji i Brazylji, domagających się uzyskania stałych miejsc w Radzie Ligi, zastrzegali się nieustannie, że nie myślą bynajmniej „równoważyć" w ten sposób wpływów Niemiec, że jedynym ich celem jest urzeczywistnienie na tej drodze ideału wzajemnej zgody i współpracy. Istotnie, jeżeliby Niemcy szczerze całkiem dążyły jedynie do utrwalenia przyjaznego współżycia z Państwem Polskiem, obecność przedstawiciela Polski w Radzie Ligi byłaby dla nich raczej ułatwieniem, niż przeszkodą...

Niemcy jednak, sami i za pośrednictwem Szwecji, oświadczyli stanowczo, iż nie wstąpią do Ligi Narodów, jeżeli oprócz nich jakiekolwiek inne państwo otrzyma jednocześnie stałe miejsce w Radzie. I wówczas, w odpowiedzi na to, nastąpił fakt, który trzeba zaznaczyć i zapamiętać. Mianowicie pozostali kontrahenci locarneńscy nie tylko nie zauważyli w tem stanowisku niemieckiem braku „ducha porozumienia", ale przeciwnie, właśnie w imię tego „ducha", uznali za właściwe poczynić Niemcom nowe, daleko posunięte ustępstwa. Dn. 12 b. m. premjer Briand złożył w imieniu Francji deklarację, iż zgadza się na nietworzenie obecnie poza Niemcami nowych stałych miejsc w Radzie Ligi, pragnie tylko utworzenia jednego miejsca niestałego i wybrania na to miejsce Polski. Wyrzekając się w ten sposób pierwotnego swego stanowiska, p. Briand zaznaczył, iż jest to ostateczny kres ustępstw ze strony Francji, *extrême limite de conciliation.*

Niemcy, po krótkim namyśle, oświadczyli, że ta propozycja również nie jest dla nich możliwa do przyjęcia. I wtedy właśnie nastąpił drugi fakt, jeszcze osobliwszy i bardziej godny uwagi. Oto po odrzuceniu przez Niemcy „ostatecznych ustępstw" rokowania nie zostały zerwane, ale przeciwnie, potoczyły się bez żadnej przerwy na podstawie... propozycyj ustępstw jeszcze dalszych. Przestało się mówić o utworzeniu nowego, choćby niestałego miejsca dla Polski, wysuwając projekt chwilowego ustąpienia Polsce przez jedno z państw, które dziś niestałe miejsca w Radzie posiadają. Chodziło tylko o to, jakie państwo ma oddać Polsce swe miejsce, a rokowania w tej sprawie znacznie bliższe już były dawnej zasadzie „równowagi sił", niż wszelakim „duchom", „nowym ideom", „nowym podstawom współżycia"...

Po kilku dniach osiągnięto niemal porozumienie w sprawie ustąpienia z Rady Szwecji i Czechosłowacji i wyboru na ich miejsce Polski i Holandji, porozumienie niewątpliwie bardzo dogodne dla Niemiec, dla nas zaś wytwarzające sytuację nader trudną i niepewną, gdy nagle „nowe instrukcje", otrzymane przez delegata Brazylji, zmieniły najzupełniej położenie. Okazało się, iż Brazylja wtedy tylko nie założy *veta* przeciw uzyskaniu przez Niemcy stałego miejsca w Radzie, jeśli sama równocześne takież stałe miejsce otrzyma. W tych warunkach nie pozostało nic innego, jak odłożyć całą sprawę przyjęcia Niemiec aż do sesji wrześniowej. Jednocześnie uczestnicy rokowań locarneńskich, Benesz, Briand, Chamberlain, Luther, Scialoia, Skrzyński, Stresemann i Vanderwelde, ogłosili wspólnie podpisany komunikat, iż mimo nieoczekiwanych trudności, układy z Locarno całkowicie pozostają w mocy.

Tak więc, wbrew przewidywaniom, sprawa przyjęcia Niemiec do Ligi Narodów uległa na kilka miesięcy odroczeniu. „Duch Locarno", „duch" ustępstw i kompromisów jeden tylko dał wynik realny, niewątpliwy: szybkie i łatwe ustąpienie od żądania stałego miejsca dla Polski i zadowolenie się zaproponowaniem jej miejsca niestałego. Taki stan rzeczy nie wywoła oczywiście w Polsce zachwytu ani dla „ducha", ani też dla opartej na nim „nowej" metody dyplomacji. Zdaje się jednak, że po obecnem niepowodzeniu, wrześniowe Zgromadzenie Ligi Narodów rozpocznie się w nastrojach mniej górnych, bardziej związanych z życiem, jego logiką i jego bezwzględnemi nakazami.

IGN.

WYCHOWANIE NARODOWE

POECI ROMANTYCZNI W PROGRAMIE SZKOLNYM

W MAŁYM grodzie Hisconium, za panowania Trajana, w tym małym grodzie, dokąd co pięć lat na święto pięciolecia ściągały całe armje poetów nawet z Rzymu, aby tam z zapasów poetyckich wynieść wieniec wawrzynowy i tytuł księcia poetów — w tem mało znanem miasteczku, w roku w którym prefektem pretorji był Maxens Mummius, zdarzył się szczególny indycent.

Od trzydziestu pięciu lat bowiem, pomimo zaciekłej walki, jaka się odbywała na sześciu ostatnich konkursach, wieniec należał do starego i sławnego mistrza Acciusa

Galbanusa Meruli, zwanego również Pindarem z Hisconium. I oto tego roku, już z posłuchów, jakie rozeszły się od Senatu pośród tłumy wiadomem się stało, iż Pindar z Hisconium nie będzie mógł pretendować o nagrodę. Pojawił się bowiem poemat, który nietylko przewyższał poemat sławnego Meruli, ale do tego stopnia wyróżnia się nad inne, że wbrew zwyczajom, za jednomyślną zgodą sędziów konkursu, on jeden zostanie tłumom odczytany.

Ten sposób postawienia sprawy, taka niebywała w kronikach Hisconium decyzja zadziwiła wszystkich, wielu oburzyła. Gdy jednak pośród ciszy, jaka zapanowała na forum, kiedy herold konkursu, histrion Pollux, rozpoczął lekturę, i gdy dały się słyczeć słowa onego jedynego poematu — nawet najbardziej wrogo usposobieni musieli przyznać, że istotnie nic podobnie pięknego nigdy nie słyszeli. I gdy Pollux skończył, nietylko krzyczano, ale płakano z zachwytu. Nawet stary i sławny Merula, choć pozbawiony przez ten triumf i miana księcia poetów i wawrzynowej korony, proklamował to zwycięstwo nad sobą, łkając z emocji.

Coś podobnego, jak wówczas w małem miasteczku rzymskiem, zdarzyło się nieoczekiwanie w gronie specjalistów — pedagogów, zebranych w r. 1924 na pierwszym wszechpolskim zjeździe polonistów, gdy wśród prelegentów zabrał głos niewielu znany, skromny nauczyciel szkół średnich, p. St. Adamczewski. Zabrał głos w sprawie lektury poetów romantycznych przepisanej urzędowo w szkołach średnich.

W referacie jego czuć było głęboką troskę o losy Państwa, którego ciężar miałby spocząć na barkach ludzi, co ze szkół wynieśli zamiłowanie do utopji i marzenia, do izolacji i buntu, do n e g a c j i życia nowoczesnej Europy, właśnie z lektury onych romantyków wynikające. I cytował „te prawdy wieczyste", te niespożyte mądrości „dane narodowi", „aby nie zbłądził", te zasady ewangeliczne „Ksiąg narodu", wstępu do „Przedświatu", według których narody europejskie „głupie są i zepsute", jako że kłaniają się „bałwanowi najobrzydliwszemu ze wszystkich", którego imię „interes", interes narodu i pytał się czy te pojęcia, z takim pietyzmem dotąd powtarzane, za świętość uchodzące, licują ze współczesnym poglądem na sprawy wskrzeszonego państwa. I nie do zwalczania onych prawd nawoływał—owszem historyczne przyznawał im zasługi—ale do tego, aby się im, zrodzonym w mrokach niewoli, przyjrzeć w świetle dzisiejszego białego dnia, przyjrzeć się bacznie, czy aby będą one „dla wychowanków naszych pokarmem duchowym, wzmagającym siły do tego życia, które ich czeka".

A to życie—mówił—to twarda rzeczywistość, którą łamać trzeba i zwyciężać, a nie biec od niej w zaświaty, aby tam tworzyć z apostolskim uśmiechem pogardy na ustach h e r o i z m k o n s p i r a c j i przeciw „gospodarności i rządności", jaką błyszczą „kramy" interesownych ludów zachodniej Europy. Tych idej się uląkł, uląkł się odpowiedzialności wobec swego sumienia nauczycielskiego za przymusowe sączenie w zdrowe organizmy pojęć z czasów więziennych, ale że o wielkich mówił i przeciw nim, utrwalonym zwycięzcom piędziesiąt lat trwającej walki o archanielskie ich panowanie nad ciemiężonym ludem, (wdzięcznym przecież, iż dzięki nim przetrwał niewolę), przeto obawy swe swe nazwał „heretyckiemi zamysłami" i z tych „grzesznych swoich knowań" przyszedł niejako spowiedź uczynić, aby, „jeśli forum nie przekona, lecz przeciwnie przez nie przekonany zostanie o płonności swych lęków — powrócić do pracy, pewniejszy i siebie i dróg swych i zadań".

Był to głos, który brzmiał taką prostotą i pełnią zarazem, taką głęboką znajomością rzeczy, takiemi błyskami zestawień olśniewał, że najzatwardzialsi zwolennicy romantycznego starowierstwa nie mogli nie przyznać tym wywodom racji. Z talentem, z siłą przekonania przedstawiał prelegent słuchaczom jasny i realnie pojęty ideał wyszkolenia, logicznie, umiejętnie podporządkowując mu dalsze swe wywody. Zakończył zaś go słowami wezwania do „serc bojowników" o „uskrzydlenie młodych dusz... nowym romantyzmem". Nikt dotąd w odrodzonej Polsce nie słyszał jeszcze i nie czytał filipiki antyromantycznej pełniejszej, bogatszej, bardziej przekonywującej i skromniejszej zarazem a tak czarująco zakończonej, tak zgodnej z duchem narodu. Ale dzisiejsi poloniści mniej są wrażliwi, mniej samodzielni w myśleniu i odczuwaniu, niż mieszkańcy starożytnego Hisconium. To też ani tam w auli natłoczonej delegatami ze wszystkich ziem Rzplitej, gdzie referat przyjęto tylomaż oklaskami, co inne podrzędne domorosłe gadaniny, ani po za jej murami, gdzie się ograniczono do formalnych sprawozdań recenzentów, przeważnie na zjeździe nieobecnych — nigdzie, jednym słowem, ani jedno echo się nie odezwało, czyniąc głos ten... głosem wołającego na puszczy.

To też dziś, po dwuch latach beznadziejnego milczenia, z okazji ukazania się pracy prof. Adamczewskiego w druku, niniejsze słowa pozwalam sobie naprzekór wszystkim i wszystkiemu opublikować.

JANUSZ HERLAINE

NAUKA I LITERATURA

ITALJA WSPÓŁCZESNA

KSIĄŻKA cudzoziemca o jego ojczyźnie *), napisana po polsku, jest, już poza swą treścią, zjawiskiem w naszej literaturze niezwykłem. A chociaż książka to o charakterze wyłącznie informacyjnym, ekonomicznym, to jednak, jako świadectwo dokonywującej się i dokonanej w narodzie włoskim przemiany, może i dla naszego życia narodowego dostarczyć wzorów godnych uwagi i naśladowania.

Bezwiednie, ale jakże przekonywującem jest ona świadectwem tego, co na kongresie faszystów w Rzymie dnia 1 października ubiegłego roku powiedział Mussolini: „Powinniśmy—mówił—występować przeciw mniemaniu, jakoby Italja była jedynie krajem wzniosłych pamiątek, krajem wspaniałych muzeów i pomników, a zarazem krajem idącym w tyle cywilizacji współczesnej. Obok pomników ma Italja fabryki, obok muzeów warsztaty, a w fabrykach i warsztatach pracują miljony robotników, którzy wysyłają na rynki światowe doskonałe wytwory swej pracy. Rolnictwo italskie nie jest zacofane, przeciwnie,—przyjęło ono wszystkie współczesne metody pracy".

I tak jest.

P. Corvi, attaché poselstwa włoskiego w Warszawie, nie cytuje w swej książce przemówienia premjera, ale udowadnia je cyframi, dając obraz wspaniałego, wszechstronnego rozwoju Italji odrodzonej.

Nie „Włoch", ale „Italji". Autor w przedmowie wypowiada się za zmianą dzisiejszej polskiej nazwy swej ojczyzny: „Włochy", która to nazwa nie jest pochodzenia słowiańskiego, lecz niemieckiego, i w istocie nie jest odpowiednia dla kraju, który własna ludność przed wiekami już nazwała „Italia". Wyjaśnienie to popiera wywodami etymologicznemi znakomitego językoznawcy polskiego, profesora Adama Antoniego Kryńskiego. A sprawa ta dla psychologji dzisiejszego Włocha, świadomie i celowo nawiązującego do

---

*) Antonio M e n o t t i - C o r v i. „Italja Współczesna". Wiadomości geograficzne. Rolnictwo. Przemysł, Handel, Komunikacje Finanse, Praca, Kolonje. Nakładem księgarni F. Hösicka. Warszawa

wielkiej tradycji dawnej potęgi italskiej z epoki cezarów, nie jest—trzeba to rozumieć—sprawą błahą. Nabiera ona dlań znaczenia ideowego, niemal symbolicznego.

Odrodzeniu bogactwa i wspaniałości Italji w ciągu lat ostatnich poświęcona jest właśnie książka p. Menotti Corvi. Sprawozdanie wypada znakomicie. Praca powiększyła wydajność ziemi, a coraz gęstsza i sprawniejszą sieć komunikacyjna i odpowiednia polityka gospodarcza sprzyja zbytowi produkcji. Dzieje się tak nie tylko w dziedzinie rolnictwa, ale i pokrewnej mu wytwórczości, ogrodownictwa, kwiaciarstwa, hodowli jedwabników, leśnictwa, hodowli mułów, drobiu, pszczelnictwa, rybołóstwa. Przemysł fabryczny, w zestawieniu z stanem przemysłu przed wojną, okazuje postęp tak bujny, że w naszych obecnych stosunkach byłby prawie nie do pomyślenia. Znów kolumny cyfr, wykazy statystyczne z roku na rok, świadczą o rozwoju kopalnictwa, węgla, rud, siarki, soli, grafitu i marmurów, o rozwoju przemysłu hutniczego i mechanicznego, wzmożonej na potrzeby własne i obcych budowy okrętów, wagonów i lokomotyw, maszyn rolniczych, elektrotechnicznych, samochodów i turbin hydraulicznych. Przemysł gumowy, instrumentów muzycznych, włókienniczy, jedwabniczy, bawełniany, konopny, lniany, jutowy, kapeluszniczy i guzikarski. Przemysł chemiczny, barwnikowy, mydlarski, zapałczany, papierniczy, poligraficzny, celuloidowy, grzebieniczy, kinematograficzny, ceramiczny, szklarski, garbarski, rękawiczniczy, szewski, gorzelniczy, cukrowniczy, wyrób konserw, przetworów rybnych, mącznych, przemysł hafciarski, koronkarski, meblarski. Niektóre z tych przemysłów nie były przedtem w Itanji znane. Powstały, wyparły niemiecką tandetę, wzmogły dobrobyt kraju.

Wymienność płodów rolnictwa i produktów przemysłu, równowagę w ustosunkowaniu wytwórczości, reguluje handel i rozumna polityka handlowa. Cła, traktaty handlowe (wyliczenie ich zajmuje blizko trzy strony książki), szczegół we tablice wwozu i wywozu, ukazują z roku na rok lepszy bilans handlowy. Szczegółowo przytem omawia autor zaczątki handlu z Polską i wspólność coraz więcej zacieśniających się węzłów gospodarczych między obu krajami.

Obrazu dopełniają rozdziały o komunikacji, finansach państwa, stopie podatkowej i bankowości. Rozdział poświęcony pracy i kwestji robotniczej, wieńczy rzec można, dzieło.

Książka rozumna, pożyteczna, interesująca. Wartość opracowania i bogactwo podanych materjałów, podnosi jeszcze styl wyrazisty, zwięzły i zwarta budowa całości. Tradycja stylu literatury łacińskiej i szlachetnej jej prostoty wyraziła się w prozie p. Corvi z naturalnym swym wdziękiem. Książka jego wśród czytelników polskich zjednywać będzie dla współczesnej Italji serdeczny podziw.

A. W.

BIBLOTEKA MEDYCKA

Donosiliśmy już o ukazaniu się niezwykle oryginalnej i wysoce artystycznej publikacji „Bibljoteki Medyckiej" p. t. „Jagnieszka". Cały tytuł brzmi:

[J a g n i e s z k a]. A tu syę powtarza raz wtóry iż xięgi tey titul iest Jagnieszka przez A. et M. Mediceusow, a to jest pseudonymow malowana y pisana. [Lwów. 1926]. Sumptem „Bibliotheki Medyckiey" w drukarniey Wł. Łazarskiego, typographa drukowana w Warszawie R. P. MCMXXV. Kupić można we Lwowie u H. Altenberga y powszędy w Polszcze (Bibliotheki Medyckiey opus primum).

Dalsze informacje bibljograficzne: Format 4-o (30×22), str. 48 nlb, + 6 tabl. Odbito 100 egz. na papierze grubym czerpanym (cena zł. 80), 500 egz. na papierze zwykłym czerpanym (cena zł. 53).

Jest to, jak widzimy, wydanie zbytkowne, obliczone na rzadkość bibljoteczną. Niewątpliwie książka pomimo wysokiej ceny będzie rozchwytana ze względu na wysoką wartość literacką tekstu i malarską ilustracyj. Każda z nich w wykonaniu i barwie równa się oryginałowi. Niepospolitość talentów autorów książki zaciekawia i ośmiela do niedyskrecji. Nietrudno domyśleć się z inicjałów imion „Mediceusów", że są to dzisiejsi właściciele Medyki, Pawlikowscy. Autorką ilustracyj jest p. Aniela, córka p. Maryli z Młodnickich i Wacława Wolskich. Ona też ilustrowała utwór siostry p. Beaty Obertyńskiej „Gitara i tamci", który jest tejże bibljoteki Medyckiej publikacją drugą (cena 18 zł., również u H. Altenberga we Lwowie).

Pełna wdzięku staroświeckości opowieść p. Obertyńskiej o gitarze francuskiej w Polsce zyskała szerokie grono czytelników. Niekażdy odrazu rozpoznaje smak literacki tej książki, ale im głębiej w nią wnika, tem więcej znajduje uroku w jej stylowej budowie.

W obu wydawnictwach Medyckich podnieść należy wysoką kulturę artystycznych upodobań, zwłaszcza w kierunku stylizowania form tradycjonalnych. Jest to cecha zasiedziałości w atmosferze uporządkowanego życia duchowego, dziedzicznie przekazywanej. Przedmioty, pojęcia, formy współżyją z ludźmi na prawach wartości duchowych, dobywanych ze skarbca pamięci. Ten stosunek poetyckiej bezinteresowności z jaką artysta pragnąłby utrwalić urok przeszłości, nadaje dziełom charakter osobisty i przez to samo artystyczny, że nierzemieślniczy. W wydawnictwach medyckich widać tę dążność do nadania całości, zaczynając od pomysłu a kończąc na technice edycji, piętna rzeczy, która się nie powtarza i jest w jednym egzemplarzu. I dobrze robią w Medyce, że starają się tym przykładem dać początek renesansowi książki, nazbyt już fabrycznie wyglądającej i w treści i w technice.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Polemika w sprawie przekładu „Fausta" coraz wyraźniej nabiera cech pierwszorzędnego w naszem życiu literackiem zdarzenia. Dyskusja przeobraża się w zasadniczy spór o zadanie tłumacza wogóle.

W „Kurjerze Warszawskim" zabrał ostatnio głos profesor germanistyki na uniwersytecie warszawskim dr. Z. Łempicki z entuzjazmem wychwalając nowy przekład Wł. Kościelskiego. Informację, podaną przez prof. Łempickiego, że „przez długie lata przekład L. Jenikego był jedynem tłumaczeniem „Fausta" na język polski" prostuje w liście do redakcji p. W. Jezierski, stwierdzając, iż przedtem jeszcze istniały przekłady: Walickiego (1844), Al. Krajewskiego (1857) drugie wydanie (1883), Feliksa Jezierskiego (1880) i J. Paszkowskiego (1882).

Obszerne artykuły na temat, przekładu „Fausta" pojawiły się w całej prasie wileńskiej. Między innemi w „Kurjerze Wileńskim" p. Tad. Łopalewski streszcza polemikę na łamach „Myśli Narodowej" dorzucając ze swej strony do dyskusji szereg trafnych uwag.

*

Zeszyt lutowy „P r z e g l ą d u W s z e c h p o l s k i e g o" składa się w części głównej z kilku poważnych rozpraw, zasługujących na uwagę. Publicysta poznański Jerzy Drobnik pisze o polityce polskiej wobec gospodarczych dążeń polityki międzynarodowej, Stanisław Szczutowski pisze na temat „Wschód i zachód", J. Nieczuja-Urbański daje uwagi nad życiem Staszica. Zamyka ten dział rozprawa prof. Br. Boufałła „O wzmocnieniu władzy Prezydenta Rzpltej". Szereg uwag, recenzyj z dzieł politycznych i kronika polityczna dopełniają całości. Cena zeszytu 3 zł. Redakcja i admin. Warszawa, Zgoda 5.

U SŁOWIAN

Nnmer 7-my praskiego tygodnika „*The Central European Observer*" przynosi dwa specjalnie Polsce poświęcone artykuły. W pierwszym (redakcyjnym) stwierdza się z zadowoleniem wewnętrzną konsolidację Polski, poruszając przedewszystkiem sprawę „mniejszości narodowych" i zaznaczając, iż „rządy polskie — w szczególności tyczy się to dwu ostatnich—traktowały i dotychczas traktują tę sprawę z największą dozą dobrej woli". Wyszczególnione są fakty, jak ugoda z Kołem żydowskiem, oraz akt lojalności włościan małoruskich i rady białoruskiej. Następny artykuł p. t. „Polska a Liga Narodów" zaznacza, że otrzymanie przez Polskę stałego miejsca w Radzie Ligi przyczyni się do konsolidacji Polski, a „wzmocniona Polska będzie wywierać dobroczynny wpływ w całej wschodniej Europie". Pisząc w podobny sposób o nas, oddaje nam czesko-słowackie min. spraw zagr. niewątpliwie dużą przysługę, gdyż ten jego angielski organ cieszy się poczytnością w Anglji i Ameryce północnej.

*

Urzędowy organ rządu praskiego, dziennik „*Ceskoslovenska Republika*" pisze zawsze z dużą przychylnością o sprawach polskich, poświęcając wiele miejsca nietylko kwestjom politycznym, ale i kulturalnym stosunkom polsko-czeskim. Ostatnio zamieszczono tam dwukrotnie sprawozdania z odczytów prof. Szyjkowskiego (Nr. 51 i 55). Streszczenie z odczytu, noszącego tytuł „Unja kulturalna czesko-polska", kończy autor sprawozdania p. H. Batowski wyrażeniem nadziei, że „gdy się wzajemnie dobrze poznamy, będzie należało pomyśleć i o zbliżeniu obu bratnich narodów także na realniejszem polu, po unji kulturalnej dojść musi i do politycznej". Analogiczny artykuł tegoż autora przyniosła w d. 25 lutego (Nr. 56) „*Prager Presse*".

*

Zagrzebskie czasopismo polityczne „*Nova Europa*" wydało numer 3 bieżącego rocznika (t. XIII). Zawiera on następujące (po chorwacku i po serbsku drukowane) artykuły: L. Literatura powo-

jenna.—R. W. Seton-Watson: Jak powstała Jugosławja?—N. Stojanowić: Polityka Wydziału Jugusłowiańskiego.—Bibljografja.—Czasopismo to, które już w r. 1925 poświęciło jeden zeszyt polskiej kulturze duchowej, zamierza w niedługim czasie wydać znów numer, poświęcony Polsce, tym razem sprawom politycznym. Zagadnieniami polskiemi zajmuje się tam głównie sekretarz „Koła Polskiego w Zagrzebiu" red. Ivan Esih.

*

Również i drugi numer nowego akademickiego czasopisma lwowskiego, miesięcznika „Myśl Akademicka" (red. J. Zarzycki) poświęca stosunkowo dużo miejsca sprawom słowiańskim. Numer naogół lepiej się przedstawiający, niż pierwszy, zawiera prace zarówno młodzieży, jak i prof. Uniw. Jana Kazimierza. Godne wzmianki są tu artykuły: Franjo Conek (lektor U. J. K.): Liryka serbsko-chorwacka, Henryk Batowski: Hymny słowiańskie (rymowany przekład wszystkich 10-u hymnów)—Kaz. Brończyk: Pod adresem młodych liryków—Prof. Łempicki: W sprawie „Historji życia studenckiego w Polsce", dalej ciekawe „Obrazki" M. Sterbówny i I. Leciejewskiej „Wrażenia z podróży do Konstantynopola".

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Pomiędzy licznemi książkami, traktującemi o zagadnieniach politycznych, należy wymienić bardzo ciekawą książkę p. Jacques Bardoux (członka Akademji Nauk Moralnych, profesora w *„Ecole des Sciences Politiques)*, p. t. *„La Route de France"* (Plon Edit.). P. Bardoux jest słusznie uważany we Francji za jednego z najlepszych znawców Anglji, jest on jednak przedewszystkiem głębokim znawcą swego własnego kraju. W *La Route de France* autor kreśli obraz sytuacji, która wytworzyła się we Francji po Traktacie wersalskim, t. j. po pokoju na prędce zawartym, nie rozwiązującym całkowicie najważniejszych zagadnień europejskich. P. Bardoux kładzie specjalny nacisk na obecne znaczenie mas robotniczych i włościańskich, których psychologja tak radykalnej po wojnie uległa zmianie. Autor zwraca uwagę na przewrót, jaki dokonał się we „Francji chłopskiej", albowiem nie potrafiono zorganizować i zmodernizować rolnictwa i życia rolnika. Należy też brać pod uwagę rozłam, jaki istnieje pomiędzy mistyką demagogiczną a myślą współczesną. Zdaniem p. Bardoux obecny ustrój parlamentarny będzie przedmiotem przyszłej walki, która rozegra się na terenie polityki wewnętrznej. Autor stwierdza, że sytuacja jest krytyczna, ale nie traci nadziei na powstanie nowej Republiki, „Republiki Narodowej", zorganizowanej na sposób „rzymski", a posługującej się wszelkiemi udoskonaleniami doby współczesnej.

*

P. René Johannet, wybitny publicysta, który z powodu sympatyj dla faszyzmu opuścił rojalistyczną *Revue Universelle*, gdzie prowadził kronikę polityczną (obecnie został tam zastąpiony przez p. Saint-Brice, korespondenta „Gazety Warszawskiej"), przeszedł do *Nouveau Siècle*, organu faszystowskiego, gdzie pisuje codziennie w rubryce p. t. *Les Travaux et les Jours*. P. Georges Valois ma założyć nowy miesięcznik faszystowski, którego redakcja ma być podobno powierzona p. René Johannet.

*

Albert Londres, utalentowany dziennikarz, którego wrażenia z Gujany francuskiej powszechnie były czytane, w ostatniej książce swojej p. t. *„La Chine en folie"* (Albin Michel), z werwą kreśli obraz anarchji chińskiej.

*

„Bella" (Grasset), ostatnia powieść p. Jean Giraudoux, stojącego na czele propagandy w Ministerjum Spraw Zagranicznych, jest t. zw. powieścią *„a clef"*. Wywołała ona duże zaciekawienie zarówno ze względu na osobę i talent samego autora, jak też i z tego powodu, że w książce tej zawarta jest historja dwóch znanych rodzin francuskich ze świata politycznego. Tematem powieści jest właśnie rywalizacja przedstawicieli tych wybitnych rodzin, z których jeden przyczynił się do odbudowy Europy powojennej. Zawiść polityczna komplikuje się atoli romansem pomiędzy synową pierwszego a synem drugiego.

Główną zaletą książki p. Giraudoux jest barwne ujęcie życia i charakterów, bystry zmysł obserwacji i subtelna ironja. P. Giraudoux jest też historjografem, bardzo złośliwym, współczesnej epoki.

*

P. Henri de Ziegler, autor książki *„Les Deux Romes"* (Editions du Siècle) jest Szwajcarem francuskim, znanym dotąd głównie z tłomaczeń Spittelera, poety Szwojcarji niemieckiej i F. Chiesa, wielkiego poety Tessynu. *„Les Deux Romes"* jest historją dwóch doktryn, dwóch religij: katolickiej i protestanckiej. Według autora nastąpi w sposób powolny pochłonięcie protestantyzmu przez katolicyzm. Na tle religijnem rozwija się fabuła powieści, przeprowadzona w sposób nader interesujący. Bohaterem powieści jest Jean Bressin, protestant, który pod wpływem raczej kultury, niż religji, nawraca się na katolicyzm. Jednym z głównych etapów tej ewolucji jest barwnie przeprowadzona i opisana podróż do Włoch i otworzenie się przed młodym protestantem nowych, szerszych horyzontów świata i sztuki katolickiej.

AD REM...

PLEBISCYT NARKOTYSTÓW

„Być może, iż wielcy ludzie tworzą despotyzm, lecz wielkich ludzi tworzy demokracja. Główne wytwórczynie bohaterów to — rewolucja i religja".

Warto przypomnieć powyższe słowa znakomitego myśliciela angielskiego G. K. Chesterton'a w czasach, gdy pragnienie silnej władzy państwowej i głód karności społecznej odczuwa coraz silniej większość inteligencji polskiej. Do reformy zasadniczej tęskni też lud, któremu brzydnie rola dwunożnego surowca w rękach fabrykantów zamętu i kramarzy skompromitowanych utopij.

Zdrowe dążenia budzącego się we wszystkich warstwach instynktu samozachowawczego tłumią nietylko wrogowie Polski, lecz niekiedy i jej zwolennicy, schwytani na lep zgubnych podszeptów, głuszących głos rozumu i sumienia.

Słabą stosunkowo odporność polskiej inteligencji na podsuwane jej zarazki ideowe wyzyskują zręcznie ci, którym zależy, aby ze skażonych idej rodziły się pokraczne czyny, lub niezdolne do rozwoju, skazane na poronienie,—czynów embrjony.

Gdy nawpół rozbudzona opinja publiczna spostrzegać zaczęła, że podstawa normalnego bytu społecznego, — monogamiczna rodzina, — chwieje się u nas i chorzeje, dzięki sankcjonowaniu nadużyć i rozpusty, natychmiast zjawili się podejrzani znachorzy chorób społecznych z radykalnem lekarstwem: sankcją rozwodów, sankcją cywilnych małżeństw.

Aby bezkarnie urządzić przedwczesną, niedozwoloną operację, wzięli się sprytnie do zabiegów przedwstępnych: zaczadziwszy opinję narkotykami frazesów, zastosowali wypróbowany *truc* demagogiczny, mianowicie pseudo-plebiscyt w sprawie małżeństw cywilnych.

W tragicznem błazeństwie tego pseudo-plebiscytu zwartą ławą wzięli udział ci wszyscy, którym dolega obowiązek i których mierzi praca celowa dla przyszłych pokoleń. Nie wziął natomiast w farsie plebiscytowej udziału prawie wcale ogół ludzi zdrowych, gardzący występami w sensacyjnych hecach, a nie podejrzewający, że jedną z takich hec w stylu „elekcji królowej Warszawy" występne ręce chcą rzucić na szalę praw państwowych, że z histerycznych wywodów samolubstwa i krótkowzroczności ukuć spróbują już nie błazeński, lecz naprawdę szkodliwy miecz do rąbania podstawowych węzłów społecznych, — do ćwiartowania rodziny.

Jako zobrazowanie tak tragicznej parodji służyć może tylko opowieść Poe'go o obłąkańcach, którzy jednomyślnie uchwalili wyzwolić się z pod jarzma medycyny, a opornych lekarzy „nawracali" nurzaniem w smole i tarzaniem w pierzu. Wyniki rozwodowego plebiscytu trącą właśnie tym systemem „Doktora Gousdron'a i profesora Plume'a".

Plebiscytowicze i ich prowodyrzy mogą dla obrony swych ryzykownych operacyj powoływać się na inne, poważniejsze autorytety. Otóż dla jasności sprawy zaznaczyć musimy, że piętnujemy jako potworność plebiscyt rozwodowy u nas przedewszystkiem dlatego, iż społeczeństwo nasze jest zbyt młode kulturalnie, aby dyskusja zbiorowa nad skomplikowanemi zagadnieniami mogła być czemś innem, jak karygodną fikcją. Ani jedno pokolenie naszego ludu, jako całości, nie przeszło jeszcze przez szkołę powszechną, z analfabetyzmem rozpoczęliśmy dopiero walkę planową, obliczoną na długie lata. Jesteśmy zatem (w gromadzie) społeczeństwem dopiero organizującem się, kulturalnie młodem. Nad stan dla nas byłoby nietylko wprowadzać schyłkowe eksperymenty społeczne narodów o starszej i bardziej jednolitej, niż nasza, kulturze, a już nie błędem, lecz obłędem—stwarzać pozory plebiscytywych opinij i na nich opierać decyzje.

Plebiscyt bez udziału ludu jest szalbierstwem. Lud nasz rodzi się dopiero dla kultury nowoczesnej. Dajcie mu się urodzić normalnie. Wtedy usłyszymy jego głos.

Tendencyjna literatura zwiększa rozgardjasz u podstaw moralnych. Zniecierpliwiona perspektywą długich, obliczonych na pokolenia, wysiłków kulturalnych, ambitna lekkomyślność polska, radaby zastąpić je jednym zamachem.

Jaki to ma być zamach: — na lewo, czy na prawo, — mniejsza, byleby odrazu nasze węzły gordyjskie rozplątał, lub przeciął. W tym celu poszukuje się na gwałt wielkiego człowieka, a choćby tylko homunculusa, wytwarzanego doraźnie na zapotrzebowanie chwili, niepomnąc, że istotnej wielkości nie dano warunków rozwoju... Ku przestrodze cytujemy tedy słowa Chesterton'a: „Wielki człowiek zjawia się wtedy, gdy w społeczeństwie panuje wielkoduszność, a nie lichota moralna. Przybywa on w momencie wzniosłym, gdy wszyscy mają poczucie, iż nawet bez niego oparliby się zagubie".

TADEUSZ ROZWORA

TEATR

DAR PORANKA

W teatrze Letnim wystawiono komedję w 3 aktach włoskiego autora G. Torzano p. t. „Dar poranka" w przekładzie Z. Jachimeckiej. Są tam dwie popisowe role aptekarki i młodego panicza. Grali je w Warszawie p. Brydzińska i p. Różycki w sposób, nie pozostawiający nic do życzenia. Utwór podobał się publiczności, która już stęskniła się do widoku na scenie prostych zagadnień miłosnych. Przez trzy akty patrzyliśmy z zadowoleniem, jak panicz zdobywa panienkę (panienkę nowożytną, samotną, zarobkującą, a więc w otwartem polu społecznem) i jak cnota utrzymuje szanse w równowadze, oczywiście do pewnego kresu. Jeśli jest prawdą, że utwór ten jest wyrazem pewnego zwrotu w twórczości włoskiej do tematów świeżych i prostych, to mielibyśmy jeden dowód więcej odradzania się życia w skorygowanych przez Mussoliniego stosunkach.

*

Autor dramatu „Hetman Żółkiewski" Kaz. Brończyk wygłosił we Lwowie odczyt p. t. „Z myśli o dramacie". Jeden z aktorów odczytał potem urywki z nowego dramatu Brończyka p. t. „Król Stefan."

NOWE KSIĄŻKI

Roman Dmowski. Kwestja robotnicza wczoraj a dziś. Warsz. 1926. Nakładem Związku Ludow. Narod. Str. 36. (A. Jerozolimska 17). Cena 50 gr. (na welinie 80 gr.)

Uchwały Rady Naczelnej Związku Ludowo-Narodowego z dn. 21 lutego 1926. Warsz. 1926. Str. 8. Tamże.

Z dziejów dawnego i współczesnego Nałęczowa. W 125 rocznicę powstania zakładu leczniczego. Pod redakcją A. Kożuchowskiego i M. Rogalskiego. 1925. Nakładem Zakładu. Str. 331. Z wielu ilustr.

Feliks Araszkiewicz. Ze spuścizny rękopiśmiennej Bolesława Prusa. Lublin. 1926. Str. 24. (Geb. i Wolff).

Tadeusz Bocheński. Moja kantyczka. Poezje. Lublin. 1926. (Księg. Kotlarskiego).

Witold Kirkor. (Wł. Korycki) Trzy powiastki. Wyd. II. Warsz. 1926. Macierz szkolna.

Marja Rodziewiczówna. Rada koronna. (Powiastka). Poznań. 1926. Cena gr. 30.

Stan. Strumph-Wojtkiewicz. Jenerał Maj i inne nowele. Warsz. 1926. Spr. Inst. Wydawn.

Stefan Papée. Teatr Stefana Żeromskiego. Poznań. 1926. Druk. Poznańska. Str. 32.

Stefan Żeromski. Róża. Dramat niesceniczny. (Pisma, pierwsze wydanie zbiorowe). Warsz. J. Mortkowicz.

Stefan Żeromski. Puszcza jodłowa. Warsz. 1926. J. Mortkowicz. Str. 32 in 4-o.

Zwierciadło żydowskie, czyli 100 prawd żydowskich z księgi Szulchan Aruch. Wydał dr. Justus, spolszczył Bol. Staszkiewicz. Cieszyn. 1926. Nakładem Dziedzictwa dr. Jana Serkanda.

M. H. Szpyrkówna. Słoneczny domek. Warsz. 1926. Bibl. wesołych i sens. opowieści.

Przegląd Wszechpolski, Warszawa 1926, luty

Przegląd powszechny. Kraków. 1926. Marzec.

Ruch Literacki. Warszawa 1926, Nr. 2 (luty)

NA MARGINESIE

Lubelska Rada Adwokacka powzięła uchwałę, zasadniczo zakazującą swym członkom dobrowolnego podejmowania się obrony w sprawach komunistycznych. Nareszcie! Pierwszym objawem i źródłem rozkładu moralnego społeczeństw jest liberalistyczne zacieranie się różnicy między „swobodą przekonań" a zbrodnią. Społeczeństwo, gdzie wierność państwu może być uważana nie za obowiązek, ale za dowolne „przekonanie polityczne" jednostki, nie potrafi obronić się ani utrzymać samodzielnego bytu. Dobrze się stało, iż tę podstawową prawdę przypominają społeczeństwu właśnie prawnicy, z natury rzeczy powołani do wytwarzania właściwego poczucia prawnego w świadomości ogółu.

*

W dziennikach lewicowych czytamy: „D. 18 b. m. odbędzie się w Teatrze Wielkim uroczyste przedstawienie z okazji imienin pierwszego marszałka Polski Józefa Piłsudzkiego. Na program złoży się: powitalne przemówienie, wygłoszone przez prezesa komitetu organizacyjnego uroczystości kanclerza Kochanowskiego, „Pieśń o Komendancie" odśpiewana przez artystę opery p. J. Dygasa, balet Szecherezada oraz 3 i 4 akt opery „Straszny Dwór"... Miło jest przeczytać, że ktoś w Polsce niema większych kłopotów, jak imieniny. Dowiadujemy się przytem, że mamy kanclerza i że Teatr Wielki jest tak zamożny, że może ofiarować benefis swemu premierowi, p. Arturowi Śliwińskiemu na użytek polityczny.

*

— „Zjawiskiem dla nas (?) bardzo sympatycznem są nasi czytelnicy żydowscy" mówił prezes Związku Literatów i Dziennikarzy Polskich p. Leopold Staff w wywiadzie, zamieszczonym dn. 16 marca w żydowskim „Naszym Przeglądzie".

Czy dla rozpowszechnienia tego „bardzo sympatycznego zjawiska" wytworny poeta przełożył na język polski „Chłopczycę"?

*

Interesujące uwagi, dobrze odzwierciadlające psychikę żydowską, zamieszcza w „Nowym Kurjerze Polskim" p. Bruno Winawer:

„Chodzą — pisze — na odczyty o Australji, na obrazy amerykańskie do kina, zbierają się wieczorami na dworcu i patrzą — jak w śnie hypnotycznym—na pociąg „Warszawa — Berlin — Ostenda — Hoek van Holland"... Staliśmy się nagle narodem podróżników i każda walizka, każdy sakwojaż budzi w tłumach cześć i uwielbienie. Prawdziwym bohaterem dnia jest człowiek odjeżdżający i—zamiast starych bajek arabskich — ojcowie opowiadają nieraz dzieciom wieczorami: „Widziałem dziś paszport zagraniczny z wizą amerykańską i szyfkartę".

Niesłusznie tylko przypuszcza p. Winawer iż ten stan psychiczny wywołany został dopiero... ograniczeniami paszportowemi. Tęsknota za „zagranicą" od wieków tętni we krwi rasy „wiecznych tułaczy", ludu „krajowych cudzoziemców", bez ojczyzny, bez poczucia osiadłości...

*

Ministerjum zachęca ludność do uprawy tytoniu w kraju nawet w małych plantacjach (1000 m. kw.). Propozycja bardzo ładna i zarówno dla państwa, jak dla jednostek byłaby korzystna, gdyby na nią pozwolił główny regulator naszej produkcji... złotowej. Kto spróbował uprawiać tytoń w małej mierze, nieopłacającej utrzymania dla niej osobnego stróża, ten wie, że pewnego poranku wyszedł do swej plantacji i spostrzegł, iż na łodygach nie ma ani jednego liścia, wszystkie bowiem zostały w nocy przez rabusiów zerwane, którzy, jak małpy na winnice, napadają w nocy bandami na tytoń.

*

Styl urzędowy. Pod tym tytułem *Eclair de l'Est* przytacza ogłoszenie *Journal Officiel* (francuski „Monitor"), które poniżej w dosłownym podajemy przekładzie:

„Minister Rolnictwa ma zaszczyt zawiadomić PP. Senatorów, deputowanych, radców miejskich i członków Trybunału Apelacyjnego, że po dostatecznem wylegitymowaniu się ze swych kwalifikacyj, dopuszczeni zostaną do konkursu zwierząt rozpłodowych końskiego i oślego gatunku".

Styl urzędowy ten sam bywa w Galji i w... Galicji...

OD WYDAWNICTWA

Upraszamy o wczesne odnowienie przedpłaty na „Myśl Narodową" za kwartał II. Do zeszytu poprzedniego dla ułatwienia opłaty przesłaliśmy odbiorcom czeki na P. K. O. nr. 3.105. Cena kwartalna wynosi 8 zł. z dostawą.

Nowi prenumeratorzy nabywać mogą komplety „Myśli Narodowej" za kwartał IV 1925 i kw. I r. b., dopóki starczy szczupłego zapasu.

TREŚĆ:

Od Redakcji. — Jaki Polska ma ustrój? *J. Zamorskiego.* — O trzech polskich „Faustach" *W. Hulewicza.*—Kogut Asklepiosa *W. Filochowskiego.* — Przeznaczenie *M. Gembarzewskiego.* — Liberum veto *Al. Świętochowskiego.* — Głosy: Jak się oświeca radykałów polskich w imię więzi rasowej *J. P.* — Przegląd polityczny *Ign.* — Wychowanie narodowe *J. Herlaine'a.* — Nauka i literatura.—Ad rem... *T. Rozwory.*—Teatr.—Nowe książki.—Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2 gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 8, rocznie zł. 30, za granicą kwart. zł. 12. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. „A. Michalski", sp. z o. o., Warszawa, Chmielna 27. Telefon 27-15.